Wydawnictwa rok VI
Dnia 26 sierpnia 1928 r.

Nr. 260

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Prawne tytuły pretensyj Kowna do Wilna

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

POROZUMIENIE FRANCUSKO - ANGIELSKIE w sprawie morskiego rozbrojenia głośnem echem odbiło się zwłaszcza w Ameryce. Stany Zjednoczone, które na mocy ustalonego w swoim czasie klucza budują rocznie tyleż większych jednostek bojowych, co i Wielka Brytanja, nie są jednakże w stanie rywalizować z Anglją pod względem ogólnego tonażu. Stąd też brak porozumienia w wentylowanej od lat kilku sprawie rozbrojenia morskiego, stąd niechęć Ameryki do nowego paktu morskiego, zawartego między Francją a Anglją. Jakkolwiek szczegóły umowy, którą dyplomaci brytyjscy wstydliwe nazywają „kompromisem w sprawach morskich", nie są podane do powszechnej wiadomości (ciekawe, jak zareaguje na to sekretarjat Ligi Narodów, który zgodnie ze statutem Ligi winien być powiadomiony o zawarciu jakichkolwiek układów pomiędzy członkami Związku Narodów?), doniosłość paktu jest większa, aniżeliby się to na pierwszy rzut oka wydawało. Po raz pierwszy od zawarcia pokoju w Wersalu odżył dawny sojusz angielsko - francuski, owa „entente", która doprowadziła Europę Zachodnią do zwycięstwa, lecz która przetworzyła się w latach powojennych w groźną rywalizację dawnych sojuszników. Przez osiągnięcie porozumienia usunięte zostaną tarcia, które przykrym zgrzytem odzywały się niejednokrotnie w stosunkach między Wielką Brytanją a Francją, i które wywoływały niejednolitą reakcję obydwóch mocarstw na poszczególne fakty z życia politycznego powojennej Europy. Jak twierdzą powszechnie, dzięki układowi, wzamian za szereg koncesyj w dziedzinie marynarki wojennej, Francja uzyska wolną rękę w sprawach swej armji lądowej. Anglja miałaby się zobowiązać bronić francuskiego punktu widzenia przy omawianiu kwestji rozbrojenia w związku z paktem Kelloga. Głównym zaś celem rządu francuskiego jest nie tyle utrzymanie dotychczasowego stanu cyfrowego armji czynnej, ile zachowanie systemu formowania rezerw, któryby na wypadek wojny umożliwił godną obronę kraju. Tą drogą „prywatnej reasekuracji" pragną się zabezpieczyć większe mocarstwa od wadliwości takich leges imperfectae, jakim będzie rodzący się uroczyście pakt Kelloga.

***

PIERWSZYM DOWODEM ODRODZENIA „ENTENTE CORDIALE" jest wspólna akcja posłów Anglji i Francji w Sofji. Imieniem swych rządów posłowie ci wyrazili premjerowi bułgarskiemu Ljapczewowi życzenie, aby Bułgarja wyrzekła się wreszcie „moralnej opieki", jaką w społeczeństwie otaczano wiecznie niezadowolonych i permanencyjno - rewolucyjnych komitadżów macedońskich. Istnienie tajnych organizacyj macedońskich na terytorjum bułgarskiem, zwłaszcza zaś w pasie, graniczącym z Jugosławją i Grecją, jest źródłem ciągłego niepokoju nad granicą, tajemniczych, a pociągających za sobą przykre skutki morderstw politycznych i nieustannych tarć między Bułgarją a jej sąsiadami. Mając na względzie pacyfikację stosunków bałkańskich, rządy Anglji i Francji pragnęłyby, aby „niebezpieczeństwo macedońskie", które rozwija się znakomicie od czasów pierwszej wojny bałkańskiej, przestało istnieć. Podobno wielkie zainteresowanie unormowaniem stosunków na półwyspie Bałkańskim wykazuje City londyńskie ze względu na pożyczki, które mają być wkrótce udzielone Jugosławji, Bułgarji, Grecji i Rumunji. Bankierzy z Lombard Street wówczas tylko dadzą pieniądze, gdy będą mieli pewność, iż pokój zapanował na Bałkanach na dłuższy czas. Powtarzają się tu, w mniejszych coprawda rozmiarach, dzieje paktu Kelloga. Wierzyciel woli, aby jego dłużnicy żyli w spokoju, zapewniając mu w ten sposób zwrot użyczonej gotówki. Demarche posłów w Sofji miało być dla Jugosławji rekompensatą za ratyfikację traktatu w Nettuno. W ten sposób Francja i Anglja „osłaniają tyły" ustępliwej względem Włoch i nękanej wewnętrznym kryzysem chorwackim, Jugosławji. We Włoszech zaś, które miast wyrazić zadowolenie z powodu ratyfikacji nettuńskiego układu, skwapliwie skorzystały z antywłoskich manifestacyj w Splicie i Sibeniku, aby wywrzeć ponowny ostry nacisk na królestwo S. H. S., udział posła angielskiego w wystąpieniu sofijskiem wywołał przykre zdziwienie. Od czasów pamiętnego spotkania Chamberlaina z Mussolinim, Anglja przychylnem okiem spoglądała na bałkańską politykę Italji. Wstawiennictwu Francji zawdzięczać może Jugosławja, ten nagły zwrot w poglądach Wielkiej Brytanji na sprawy Bliskiego Wschodu.

***

OBWOŁANIE ACHMEDA ZOGU KRÓLEM ALBAŃSKIM jest właśnie szybką odpowiedzią Italji na wystąpienie posłów w Bułgarji. Żądny władzy dyktator Albanji oddawna nosił się z zamiarem proklamowania siebie monarchą. Dla braku zgody ludu i jedynego protektora — Włoch, zwlekał z urzeczywistnieniem swych planów. Ze „sprzeciwem ludu" prezydent albański uporał się z łatwością — rozwiązał republikański parlament, do nowego zaś „mianował" wyłącznie swych zwolenników. Trudniej było ze zgodą Włoch. Jednakże ostatnie wypadki na Bałkanach wytworzyły taką sytuację, że poseł włoski w Tiranie Sola przyzwolenia tego wreszcie udzielił. Nowy król Skanderbeg III-ci — tak będzie nazywał się albański Napoleon — ma nawet, według pogłosek, poślubić włoską księżniczkę. Nie wiadomo, czy długo potrwa okres drugiej monarchji w Albanji, skoro ludność ponad głowami deputowanych zgłasza liczne przeciwko temu protesty, chociażby ze względu na rozrzutność nowego króla, który z próżnego skarbca państwowego wypompowywał dotąd po 5 do 6 miljonów lirów rocznie na własne wydatki. Czynił to, jako prezydent; niewątpliwie, jako król, wydawać będzie więcej. Czy go nie spotka los poprzednika, księcia Wiednia, w którego obaleniu Achmed Zogu sam czynny brał udział? Wzamian za zgodę Włoch na wprowadzenie monarchji w Albanji zobowiązać się miał nowy król stworzyć uprzywilejowane warunki dla osiedleńców włoskich, którzyby w ten sposób uzyskali nowy teren dla swej kolonizacji bałkańskiej.

***

ZUPEŁNE ZWYCIĘSTWO VENIZELOSA przyniosły ostatnie wybory w Grecji, którą niesłusznie, jak się obecnie okazało, posądzano o wzrost sympatyj monarchistycznych i o niechęć dla starego męża stanu. Na ogólną ilość 250 mandatów veniziliści uzyskali 228! Jeśli więc nawet uwzględnimy specjalne „oddziaływanie" rządu na wyborców, stwierdzić należy, iż naród grecki pozostał wierny tradycji republikańskiej i swemu staremu wodzowi. Bankructwo monarchistów i zwolenników dyktatury, jakoteż kompletna porażka komunistów, stanowią najlepszy dowód, iż młoda demokracja grecka znalazła swą właściwą drogę.

***

PAKT KELLOGA, KTÓREGO UROCZYSTE PODPISANIE nastąpi jutro w Paryżu przez przedstawicieli Francji, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanji oraz jej dominjów, Japonji, Polski, Niemiec, Włoch, Belgji, Irlandji i Czechosłowacji, przy całym swoim, raczej demonstracyjnym niż bezpośrednio praktycznym, charakterze jest bezsprzecznie krokiem naprzód na drodze do rozbudowy pacyfizmu międzynarodowego. Aczkolwiek nie podzielamy optymistycznych nadziei wielu jego zwolenników i uważamy za bardzo wskazaną czuj-

ność, by nie stał on się narkotykiem, usypiającym słabych, a podniecającym silnych do poczynań, nic wspólnego z pokojem nie mających, już sam fakt, iż wciąga on Amerykę do współpracy nad wytępieniem wojny ze stosunków międzynarodowych jest objawem w najwyższym stopniu dodatnim. Te właśnie żyro potęgi amerykańskiej różni go od dotychczasowych układów pokojowych. Powstaje tylko pytanie, czy te żyro amerykańskie nie zostanie cofnięte. Mieliśmy już pod tym względem bardzo smutny przykład z paktem Ligi Narodów, również pochodzenia zaoceanowego. Jak donosi prasa angielska, panuje uzasadniona obawa w Waszyngtonie, iż senat amerykański odmówi ratyfikacji paktu Kelloga, pod pretekstem, iż podpisanie jego zbiegło się w czasie z kampanją wyborczą. Według pogłosek, demokraci zamierzają ostro zaatakować pakt ten w senacie, by w ten sposób wywrzeć zemstę na republikanach za odrzucenie przez nich covenant'u Ligi Narodów i za porażką prez. Wilsona we własnej ojczyźnie. Jedynie wielkie zwycięstwo wyborcze republikanów mogłoby zapewnić ratyfikację paktu Kelloga.

Gdyby te obawy sprawdziły się, bylibyśmy świadkami niezmiernie groteskowej sytuacji. W każdymbądź razie sam ich podkład dowodzi, jak kręte ścieżki prowadzą do „raju pacyfizmu", ile kryje się w nich zasadzek, i jak zależne jest szczęśliwe dotarcie do celu od czynników nieobliczalnych — gry partyj i koteryj politycznych, tej samej gry, która niejednokrotnie doprowadzała do wojen.

**
*

LOTNICZE MANEWRY W ANGLJI zorganizowane według przewidywań tych okoliczności, które towarzyszyć będą przyszłej wojnie — a więc całego okrucieństwa stosowania nocnych napadów nieprzyjacielskich eskadr na stolicę państwa, na centra przemysłowe, niszczenia węzłów komunikacyjnych i... duszenia ludności zatrutemi gazami — wypadły znakomicie! Okazało się, że istotnie lotnictwo wojenne ma do spełnienia wielką rolę w operacjach wojennych. Londyn — ośmiomiljonowe miasto, może być już w godzinę po wypowiedzeniu wojny doszczętnie zburzony, ludność wytępiona, lub wypędzona z zatrutych domostw. Rezultaty wspaniałe — ale jedynie, gdy chodzi o atak. Obrona powietrzna, zabezpieczenie własnej stolicy przy pomocy aparatów lotniczych, okazało się niemożliwem. Pisma angielskie, a za niemi i cała opinja angielskiego społeczeństwa srodze zaniepokoiła się tak „wspaniałemi" doświadczeniami teoretycznemi przyszłej wojny. Nie zmartwiło się jedynie ministerstwo awjacji, które z tej lekcji „teoretycznej" wyciągnęło zgoła nieoczekiwany wniosek i oto, twierdzi, że licząc się z temi doświadczeniami, należy dalszy rozwój lotnictwa wojskowego przystosować do tego, by... wzamian stolica nieprzyjaciela mogła zostać zburzona już po półgodzinie, a ludność całkowicie zatruta. „Efekt takiego przeciwdziałania byłby najlepszym środkiem obrony własnego kraju"... Pięknie zapowiada się przyszłość świata, nad którym właśnie wschodzi „jutrzenka wiecznego pokoju". Bardziej dobitnej ilustracji do Locarna, paktu Kelloga, nie wymyśliłby najzłośliwszy pisarz angielski — G. B. S. — Bernard Shaw, który w swojej sztuce „Major Barbara", twierdził, iż największym pacyfistą jest... Krupp. Może to i racja?..

**
*

UBOLEWAJĄC I PŁACZĄC, SOCJALDEMOKRATYCZNI MINISTROWIE NIEMIECCY, rycerze czystego marksizmu, nie odmówili swojej zgody na budowę pancernika A. Trudno o bardziej poglądową lekcję bluff'u, jaki się kryje poza doktrynerstwem monopolistów „sprawiedliwości i pokoju". Wzruszająca jest doprawdy szczerość niektórych ich leaderów, otwarcie demaskujących niepokalany oportunizm własnej polityki, niczem nie różniący się od najgorszych tradycyj „burżuazyjnych". Pan poseł dr. Breitscheid oświadczył na zarządzie partyjnym, że całą winę ponoszą ministrowie demokratyczni, gdyby bowiem zgodzili się oni na budowę pancernika, to socjaliści mogliby głosować przeciwko niemu, nie wywołując kryzysu rządowego. Stało się jednak inaczej. Demokraci nie chcieli postąpić wbrew swoim zasadom, by umożliwić socjalistom tani efekt. Wobec tego socjaliści skwitowali ze swoich zasad i... wielki pancernik bronić będzie Prus Wschodnich przeciw „imperjalizmowi polskiemu", jak pisze zachwycona tym odrodzeniem militaryzmu niemieckiego prasa nacjonalistyczna. Oto jak wyglądają w świetle rzeczywistości szumne hasła i zasadnicze programy socjaldemokracji niemieckiej. Sprawa pancernika A jest tak typowa i pouczająca, że winniśmy ją zawsze mieć w pamięci, ile razy będzie mowa o pacyfizmie niemieckim.

PRAWNE TYTUŁY PRETENSYJ KOWNA DO WILNA

W chwili, gdy stugębna plotka pomawia Rzeczpospolitą o zamiary zaborcze względem Litwy kowieńskiej, gdy III Międzynarodówka nawołuje „wszystkich" robotników i włościan świata do strajków protestacyjnych, mających rzekomo zapobiec rozpalaniu nowego pożaru przez Polskę należałoby z całym spokojem rozejrzeć się w istocie t. zw. zatargu czy sporu polsko-litewskiego, który pod wpływem coraz to nowych a nieobliczalnych nieraz pociągnięć kowieńskich zagubił się w powodzi szczegółów tak dokładnie iż sami niejednokrotnie odnaleźć nie jesteśmy w stanie wątka sprawy, zalanego powodzią gadulstwa matadorów kowieńskich i ich berlińskich czy moskiewskich protektorów, którzy wciąż wysuwają na pierwszy plan sporną jakoby kwestję Ziemi Wileńskiej czy krótko mówiąc, Wilna poprostu.

Ta kwestja istotnie staje się zmorą dnia pod wpływem propagandy niemieckiej, pragnącej we własnym interesie — podkreślamy, — by wszelkie spory terytorjalne na wschodzie Europy trwały jaknajdłużej, ba, przeciągały się w nieskończoność! We własnym interesie, bo owa rzekoma płynność granic wschodnio-europejskich — gdyby się o niej dało przekonać mocarstwa zachodnie — objąćby mogła również granice wschodnie Rzeszy, uważane powszechnie w Niemczech za niemożliwe do dobrowolnego przyjęcia, jak o tem przypomina nam codzień niemal prasa z za Odry czy też z prawego brzegu dolnej Wisły. Płynność granic na wschodzie Europy, stwierdzona, powszechnem jej uznaniem przez opinję zachodnio-europejską, staćby się mogła atutem w rękach propagandy berlińskiej, którymby wygrać można było nietyle sprawę Wilna ile sprawy innych terytorjów, nierównie bliżej propagandę tę obchodzących.

W tym stanie rzeczy więc wydaje się być niezmiernie na czasie przypomnienie, jak wygląda sprawa t. zw. wileńska w świetle umów międzynarodowych i jak wiąże

się ona z nieuregulowanemi dotychczas stosunkami polsko-litewskiemi.

Spór polsko-litewski o Wilno wyłonił się, przypomnijmy, w momencie wyłonienia się organizmów państwowych polskiego i litewskiego z wojennego chaosu. Oba państwa zgłaszają zaraz w początku swego istnienia pretensje swe do ziemi wileńskiej z tą jednak różnicą, iż rząd polski pragnie rozstrzygnięcia kwestji przynależności państwowej Wilna zgodnie z wolą ludności miejscowej jak to mówiła odezwa Naczelnego Wodza do mieszkańców b. W. Księstwa Litewskiego. Rząd Litwy Kowieńskiej natomiast domagał się Wilna, nie precyzując zresztą ściślej roszczeń terytorjalnych, ale opierając się bezwzględnie zasadzie plebiscytu. Jeśli chodzi o Litwę, to ta w pojęciu swem pozyskała „prawa" do Wilna jedynie mocą traktatu litewsko-sowieckiego z d. 12 lipca r. 1920, którym rząd sowiecki przekazał rządowi litewskiemu swe rzekome prawa suwerenne do terytorjum obecnej Litwy kowieńskiej i częściowo do terytorjum położonego od niej na wschód a podówczas okupowanego przez wojska polskie. Do traktatu tego dodany był tajny załącznik, stwierdzający, że „przekroczenie przez wojska sowieckie granicy litewskiej i okupowanie przez nie części terytorjum litewskiego nie będzie w żadnym razie uważane przez rząd litewski za pogwałcenie obecnego traktatu pokojowego lub za akt nieprzyjazny w stosunkach litewsko-sowieckich". Załącznik ten ogłoszony został przez „Times" z d. 5 sierpnia r. 1920 a p. Waldemaras na posiedzeniu Rady Ligi Narodów w d. 16 września tegoż roku stwierdził jego istnienie, dodając, że załącznikiem tym do traktatu Litwa istotnie upoważniała wojsko sowieckie do użytkowania ze swego terytorjum.

Ów układ Litwy kowieńskiej z sowietami, z któremi Polska podówczas była w stanie wojny, był w stosunku do Polski pogwałceniem nieutralności, do której zachowania rząd litewski zobowiązał się był jedną ze swych not, adresowaną do ministra Sapiehy. Polska też nie uznała owego traktatu litewsko-sowieckiego w czasie późniejszych rokowań suwalskich z Litwą ani nie uzna go nigdy, rząd sowiecki bowiem zdecydował nim na korzyść Litwy o terytorjum, jakie nie było wówczas w jego posiadaniu, lecz o którego posiadanie walczyła Polska. Nie mogła też Polska uznać praw suwerennych Rosji do terytorjum b. Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, tem samem bowiem stanęłaby na stanowisku uznania legalności rozbiorów. Wreszcie Sowiety same zrzekły się jeszcze przed układem z Litwą swych praw suwerennych do terytorjum Polski przedrozbiorowej, a to mocą dekretu z d. 28 sierpnia r. 1918, notyfikowanego rządowi niemieckiemu w d. 3 października tegoż roku, którym to dekretem wszystkie traktaty, dotyczące rozbiorów Polski, zostały anulowane.

Tym sposobem, podkreślmy, rząd sowiecki układem z d. 12 lipca dawał Litwie, wzorem Zagłoby, to, czego nie posiadał faktycznie ani czego dawać formalnie nie miał prawa, wyrzekłszy się danego terytorjum definitywnie. Z równem powodzeniem ofiarowaćby mógł Litwie kowieńskiej Warszawę albo — dla drastyczniejszego przykładu — Królewiec.

Po zycięstwie sierpniowem pod Warszawą wojsko polskie odrzuciło nieprzyjaciela na wschód od Bugu, a jednocześnie zażądała od Litwy, by ta cofnęła wojsko swe z okupowanej częściowo Suwalszczyzny. Napotkawszy wszakże na opór, a nie chcąc doprowadzać do zbrojnego starcia pomiędzy Litwą a Polską, rząd polski odwołał się do Ligi Narodów o zażegnanie konfliktu i w wyniku tego odwołania w d. 7 października r. 1920 spisana została w Suwałkach konwencja rozejmowa, wykreślająca linję demarkacyjną na tej części terytorjum, na którem wojska polskie i litewskie stykały się z sobą. Rozejm ów, obejmujący odcinek od granicy niemieckiej do wsi Poturce (na zachód od Wilna), nie wspominał ani słowem o Wilnie, które, choć znajdowało się podówczas w rękach litewskich, leżało przecież poza terytorjum, objętem konwencją suwalską, stwierdzającą nadto, iż „linja demarkacyjna nie przesądza w niczem praw terytorjalnych żadnej z umawiających się stron".

W kilka dni po podpisaniu konwencji suwalskiej generał Żeligowski zajął Ziemię Wileńską, przyczem stwierdzić należy z całym naciskiem, że akcja gen. Żeligowskiego, acz zdezawuowana przez rząd polski, nie naruszała przecież w niczem umowy suwalskiej, wojsko bowiem gen. Żeligowskiego operowało na terytorjum, nie objętem rozejmem. Zresztą linja demarkacyjna, ustalona w Suwałkach, następnie, mocą układu polsko-litewskiego, podpisanego w d. 29 listopada r. 1920 w Kownie, zamieniona została na strefę neutralną pomiędzy wojskiem litewskiem, pozostawiającą Wilno w posiadaniu gen. Żeligowskiego. Strefa neutralna wreszcie przedłużona została od Ormian do granicy łotewskiej, rozgraniczając regularne wojska polskie od wojska litewskiego w myśl postanowień wojskowej komisji kontrolującej Ligi Nardów z d. 24 grudnia r. 1920.

Celem zajęcia Wileńszczyzny przez pułki gen. Żeligowskiego, uformowane z ochotników, pochodzących z tych właśnie okolic, było umożliwienie ludności swobodnego wypowiedzenia się, do którego z dwu organizmów państwowych pragnie należeć. Rząd litewski jednak w dalszym ciągu sprzeciwił się rozstrzygnięciu dalszych losów Wileńszczyzny w drodze plebiscytu, odrzucił również kompromisowy pojekt załatwienia polsko-litewskiego sporu terytorjalnego, proponowany w r. 1921 przez Hymansa. W tych warunkach jedynem rozstrzygnięciem sprawy w sposób najsłuszniejszy, bo zgodny z wolą bezpośrednio zainteresowanych, stała się uroczysta uchwała sejmu wileńskiego z d. 20 lutego r. 1922, proklamująca przyłączenie Ziemi Wileńskiej do Polski. Uchwała ta, zatwierdzona następnie przez sejm warszawski, uznana została przez konferencję ambasadorów w jej decyzji z dn. 15 marca r. 1923 w sprawie wschodnich granic Polski, wreszcie przyjęta została do wiadomości w d. 21 kwietnia t. r. przez Radę Ligi Narodów.

Zaznaczyć przytem wypada dla ścisłości, że choć traktat wersalski, upoważniający mocarstwa sojusznicze do ustalenia wschodnich granic Polski, formalnie rządu litewskiego, nie podpisanego pod nim, nie obowiązywał,— niemniej jednak Litwa dobrowolnie uznała kompetencję rady ambasadorów do stanowienia o wschodnich granicach Polski, a to notą z dnia 18 listopada r. 1921, w której rząd litewski oświadczył, iż wdzięczny byłby mocarstwom sojuszniczym, gdyby te zechciały zrobić użytek z prawa przyznanego im art. 87-ym traktatu wersalskiego.

W tych warunkach więc, na zasadzie samostanowienia o sobie ludności, spór terytorjalny polsko-litewski, rozstrzygnięty został ostatecznie uchwałą wileńską i — wedle wyrażenia Hymansa — raz na zawsze przeszedł do historji.

St. Poraj.

ODNOWIENIE I CAŁOŚĆ CHIN

Bardzo trudno zrobić obrachunek tego, co zaszło ostatniego roku w starem państwie bogdychanów i co figuruje w liczbie dokonanych postępów. Formalnie rzecz tak wygląda, że rząd nacjonalistyczny pokonał swych rywali na spornych terenach i zjednoczył ponownie ogromne państwo. Atoli nastręczają się jeszcze wątpliwości, czy ów rząd okaże dość żywotności i siły, czy zdoła utrzymać swą jedność i nie ulec rozkładowi na rozbieżne i wrogie pierwiastki. Szybkie i częste metamorfozy dowódców chińskich, którzy z taką łatwością przechodzili z jednego obozu do drugiego — nakazują dużą powściągliwość i ostrożność w ocenie ostatnich wypadków.

Nowy rząd, od obecnej swej stolicy noszący miano nankińskiego, zwrócił się do państw obcych z żądaniem rozpoczęcia układów o rewizję starych traktatów, narzuconych różnemi czasy Chinom i stawiających te ostatnie w stanie upośledzenia i poniekąd poddaństwa. Rewizja ta w zasadzie jest przesądzona, ale znaczna większość państw nie ma ochoty zrzekać się korzystnych przywilejów i nie spieszy się z rozpoczęciem układów. Wychodzą one z założenia, że zawiązanie układów oznaczałoby uznanie rządu nankińskiego, a ten nie dał jeszcze dostatecznych rękojmi, że potrafi utrzymać porządek w państwie i zapewnić bezpieczeństwo obcym obywatelom. Łączy się z tem jeszcze obawa, czy zerwanie rządu nankińskiego z Sowdepją, nie było mistyfikacją i czy za plecami tego rządu Moskwa nie będzie prowadziła wojny z handlem i przemysłem zamorskim. W każdym razie stan obecny w Chinach dłużej trwać nie może, gdyż położenie międzynarodowe zmieniło się radykalnie.

Przed laty trzydziestu Niemcy, Rosja, idąca wówczas za nią Francja zainaugurowały politykę rozbioru Chin. Przeciwstawiały się jej Stany Zjednoczone i w pewnej mierze Anglja, ale opór obu mocarstw anglosaskich nie wydawał się wtedy dość silnym i skutecznym do powstrzymania trzech potęg militarnych, które na ciele niedołężnego żółtego olbrzyma zaczęły wykreślać swe „sfery wpływu" i zagarniać nadmorskie „dzierżawy". Dopiero wojna japońsko-rosyjska zadała tej polityce ciężki cios, a wojna światowa przyniosła jej zupełną likwidację. Wyrazem jej była konferencja waszyngtońska, na której rząd Unji nie tylko przeprowadził zasadę niepodległości i całości Chin, lecz jeszcze skłonił mocarstwa do zwrotu pewnych „dzierżaw" oraz okupowanych pod różnemi pozorami miejscowości. Potężna Ameryka stanęła na straży niepodległości Chin i uchroniła je od zaborczej interwencji podczas ostatniego kryzysu. Ona też, nie czekając na postanowienie innych państw, zadeklarowała uznanie rządu nankińskiego i obiecała mu udzielić znaczną pożyczkę, o ile jego praca reformatorska rozwinie się w kierunku, rokującym uporządkowanie i odnowienie państwa.

Ale nawet takiej potędze jak Stany Zjednoczone trudno jest anulować wszystkie polityczne skutki poprzedniego procesu. Pozostały z dawnych czasów różne umowy, ograniczające suwerenitet zwierzchniej władzy chińskiej i rozluźnił się związek odległych prowincyj z państwem. W okresie, poprzedzającym wojnę z Japonją rząd carski forsował zasady, że prowincje te nie należą do Chin, lecz tylko do bogdychana, skoro zaś ten ostatni sam szuka pomocy i opieki u Białego Cara, tem samem oddaje w jego przemożne ręce pieczę nad losem krajów, których nie może obronić i zasłonić przed obcą pożądliwością. Wcielając tę teorję w czyn, polityka rosyjska nie tylko zarządziła okupację Mandżurji, lecz zarzuciła sieci na sąsiednią Mongolję a nawet na Tybet. Agenci rosyjscy dotarli do Lhaszy i tam oplątali do tego stopnia Dalaj - Lamę, że ten już się zgadzał na przyjęcie protektoratu carskiego. Ówczesny wicekról Indji, lord Curson, nakłonił gabinet angielski do stanowczego kroku; do Tybetu wkroczyła angielsko-indyjska ekspedycja zbrojna i wkrótce znalazła się w stolicy Dalaj - Lamy. Carat nie ośmielił się rzucić otwarcie rękawicy Wielkiej Brytanii, był zresztą wtedy w trudnej sytuacji, gdyż wybuchła wojna z Japonją. Po wojnie stanęła pomiędzy R[illegible] ją a Anglją w sprawach azjatyckich umowa, której punkt, dotyczący Tybetu, zabrania obu stronom mieszanie się do spraw politycznych tego kraju, a nawet posyłanie tam „wypraw naukowych".

Pomimo klęsk pod Mukdenem i Cuszymą rząd carski nie zlikwidował swej polityki azjatyckiej, lecz w zmienionych warunkach prowadził ją dalej. W Mandżurji stracił bardzo wiele na rzecz Japonji, lecz dużo jeszcze zachował aż do wojny światowej. W Mongolji skorzystał z upadku tronu bogdychanów i zastosował swą teorję o prowincjach zewnętrznych. Skoro Mongolja należała właściwie do bogdychana, to z jego upadkiem zrywa się węzeł, łączący ją z Chinami i dawna prowincja staje się niepodległem państwem. A to ostatnie ma przecież prawo zawrzeć z rządem carskim traktat sojuszniczy i korzystać z jego opieki.

Jeszcze przed wojną światową weszła Mongolja oficjalnie w orbitę wpływów rosyjskich. Podczas wojny i po niej była ona widownią walk pomiędzy bolszewikami i antybolszewickiemi oddziałami. W Mongolji organizował swą dywizję znany kontrrewolucyjny generał Ungern - Sternberg i stamtąd wkroczył do wschodniej Syberji. Po wojnie nie nastąpiło ścisłe rozgraniczenie pomiędzy Syberją a Mongolją; pomimo oficjalnego uznania niepodległości tej ostatniej uwijały się po niej pod różnemi pozorami oddziały sowieckie a instruktorzy rosyjscy organizowali miejscowe siły wojskowe. Był projekt włączenia Mongolji do związku S. S. R., dotąd jednak nie przyszedł do skutku. Formalnie Mongolja jest państwem niepodległem, faktycznie pozostaje pod wpływem sowietów, a pretensje do zwierzchnictwa nad nią rościł Pekin, a obecnie sukcesorem ich jest rząd nankiński. Zresztą Mongolja mimo swej rozległości ma niewielkie znaczenie dla państwa chińskiego; jest to właściwie pustynia, którą trzeba dopiero zagospodarować i zaludnić. Kto to zrobi, stanie się naprawdę panem i właścicielem tego ogromnego kraju.

Na zawładnięcie Mandżurji ma widoki Japonja, chociaż nie zyskała po temu nowych formalnych tytułów i nie może myśleć o skolonizowaniu tego dość gęsto zaludnionego kraju swoją emigracją. Świat

przyzwyczaił się do tego, że w Mandżurji gospodarowały oddawna Rosja i Japonja niemal na prawach właścicieli. Po wojnie światowej pozycja Rosji upadła, a spuściznę po niej objęła Japonja, która obecnie pretenduje tam do wyłącznego wpływu. Na tem tle pomiędzy nią a rządem nankińskim rozwija się spór, w którym głos mają zabrać i inne państwa, zainteresowane na wschodzie azjatyckim.

Na rok przyszły nacjonaliści nankińscy zamierzają zwołać zgromadzenie narodowe, w którem obok Chin właściwych wzięliby udział przedstawiciele Mandżurji, Mongolji i innych prowincyj. Chodzi oczywiście o powstrzymanie tendencji odśrodkowych, a skonsolidowanie rozpadającego się państwa i danie temu praktycznego wyrazu.

Niezależnie jednak od przebiegu i wyników owego zgromadzenia rzeczą istotną i miarodajną dla przyszłości państwa pozostanie niewątpliwie dalsza ewolucja Chin właściwych. One bowiem są właściwym przedmiotem obecnego procesu regeneracyjnego, one też są kapitałem zakładowym, który tworzy podstawy całego państwa. W stosunku do tego obszaru i zaludniających go setek miljonów ludzi los oddzielnej prowincji będzie rzeczą zaledwie trzeciorzędną.

T. Grużewski.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

MŁODZIEŻ — RYBKI — CZY KANIBALE?!

W 13/14 numerze dwutygodnika „Głos Literacki” ukazał się drobny, niepodpisany artykulik p. t. „Wywiad z Juljuszem Kaden-Bandrowskim w sprawie idei społecznej w Poezji”. Autor artykuliku pisze, iż redakcja „Głosu Literackiego” zwróciła się do mnie „z prośbą o udzielenie cennych uwag w sprawie zagadnień społecznych w poezji”.

I dalej: Redakcja „Głosu Literackiego” niniejszem uprzejmie przeprasza Szanownych Czytelników, lecz wywiadu powyższego zamieścić, pomimo najszczerszych chęci, nie mogła z powodu ogromnej ilości słów nieprzyzwoitych, któremi nasz ceniony rozmówca określa kwestje zasadnicze. „Złagodzenie tekstu” byłoby jednocześnie sfałszowaniem zapatrywań Pana Redaktora Juljusza Kadena - Bandrowskiego, czego, oczywiście przez wzgląd na powagę spraw omawianych, uczynić nie możemy”.

W tym samym numerze „Głosu Literackiego” znajduje się jeszcze jeden artykuł, tyczący się mojej osoby p. t. „KADENcja Megalomaństwa” podpisany przez p. Andrzeja Wolicę.

Główne wytyczne artykułu p. Andrzeja Wolicy brzmią jak następuje:

„Plagą wielu dobrych literatów, jest ich słabość do wychowywania młodego pokolenia, wychowywania, oczywiście, według swoich, bezwzględnie najlepszych recept”.

„Nasuwa się pytanie, poco bawić się w przewodnika młodych, w odkrywcę jednodniowych sław, w domorosłego wujka literatury”.

„Zostawcie młodych samym sobie”.

„Jeżeli porywacie się na sądy, kardynalnym waszym obowiązkiem jest poznać młodych i ich prace. W przeciwnym wypadku sądy wasze będą nieuczciwe”.

„Prace młodych wykorzystuje się w pewien „cudowny” sposób. Mówi się im mianowicie, że to wielki zaszczyt, iż są wogóle drukowani, że nie powinni myśleć o honorarjach i Bogu dziękować, że wpuszcza się ich na łamy porządnego dziennika (metody organu pana Stpiczyńskiego)”.

„W ten sposób nie można oczywiście zgromadzić wokół siebie zastępu zdolnych pracowników. Łowi się więc różnego gatunku rybki z mętnawej wody polskiego grafomaństwa. (Patrz: beznadziejne elaboraty wierszowane w każdą niedzielę w „Głosie Prawdy”). Osiemdziesiąt procent odpowiedzi redakcji, to najłatwiejszy i najbardziej karygodny system podszczekiwania”.

Jakto, więc jeszcze jedna kłótnia literacka? — zawoła cierpliwy czytelnik. Nas, czytelników nie obchodzą przecież wasze domowe srawy, kłótnie, awantury, czy koterje. Macie pisać dobre powieści, dobre, piękne poezje. Z tem do nas przychodźcie.

Żądanie słuszne, jedynie racjonalne. Jeżeli więc taki właśnie spór, natury wewnętrznej podejmuję tu przed czytelnikiem. Z przebiegu sporu czytelnik dowie się, że chodzi tu jednak o coś więcej, niż o kłótnię literacką.

Wedle mego mniemania chodzi tu o rzecz wcale donioslą, a mianowicie o obyczajową postawę młodej grupy literackiej. Obyczajowa zaś postawa, — to już rzecz wcale nie tak błaha i nie małoważna, świadczy ona bowiem niedwuznacznie o moralnych tendencjach pokolenia.

Wracajmy więc do sporu:

W myśl tego, co przytoczyłem wyżej z tekstów „Głosu Literackiego” wynikałoby:

1) Iż w czasie wywiadu na temat idei społecznej w poezji, zachowałem się poniżej godności stanu pisarskiego, mówiłem bowiem, — mimo powagi spraw omawianych — w sposób, nie dający się publicznie, w druku powtórzyć. Tak więc ubliżyłem poezji samej, ubliżyłem poetom najmłodszym, a wreszcie, — co najważniejsze — ubliżyłem szerokiemu ogółowi czytelników, dla których wywiad był przeznaczony.

2) Że manieruję młode pokolenie pisarzy i szkodzę mu. Opanowany plagą wychowawczą, nie znając młodych i ich prac, wydaję sądy nieuczciwe. Mało tego: Prowadzę coś, jakgdyby proceder wykorzystywania młodych, drukując ich wiersze co niedzielę, za darmo. Rozpleniam grafomaństwo, nie dopuszczam do zgrupowania się wokół mego redakcyjnego posterunku zastępu zdolnych

pracowników i sam z trybuny Odpowiedzi „Głosu Prawdy” karygodnie podszczekuję.

A więc, — jeżeli chodzi o młodych — jestem szkodnikiem.

Jakże to stało się, że zostałem karygodnym szkodnikiem?

Nie dalej, jak pół roku temu ci sami młodzi w delegacji dwóch najwybitniejszych z pośród tego grona poetów, zapraszali mnie, bym wziął udział, jako sędzia, na turnieju poetyckim owych młodych, który odbywał się w uniwersytecie. Gdy wymawiałem się mnogością innych prac, oświadczyli, że kto, jak kto, lecz ja właśnie nie mam prawa uchylać się, ja, — u którego i z którym stawiali swoje pierwsze kroki poetyckie?

Jakże więc stało się to i jakiejże młodzieńczej przypisać mam nieopatrzności, że owi młodzi panowie oddali mi tak zaszczytne miejsce przy sędziowskim stole turnieju, między panami profesorami Kridlem, Pomirowskim i Ujejskim?

Na Boga! Dlaczegoż to, co niedzielę drukuję (Redaktorze Naczelny, czy masz odwagę dzielić ze mną tak ciężką odpowiedzialność!) „beznadziejne elaboraty wierszowane” i dlaczegoż to *rybki łowię z mętnawej wody polskiego grafomaństwa, — jeżeli rybkami temi po raz pierwszy przezemnie właśnie na dzienne światło poezji polskiej wyłowionemi, byli poeci, którzy podszczekiwaczem mnie teraz nazywają i szkodnikiem?!* Czyż to nie w „Głosie Prawdy” drukował Pan swój pierwszy wiersz, Panie Andrzeju Wolica? Pod tytułem „Szyny”. O które to „Szyny” gniewa się Pan na jakiegoś Erazma Gordrana *)? Któryto Erazm Gordran, jakoby ukradł Panu te „Szyny”, odbijając je bez ceremonji.

I czy pamięta Pan, że bynajmniej nie okazywałem dla owych „Szyn” zachwytu, jaki okazał im tak widocznie p. Erazm Gordran, nie chciałem ich bowiem drukować. I przestudjowałem ten pański wiersz i miałem mu coś do zarzucenia? I Pan godził się na moje zarzuty, ale, — ostatecznie, — tak bardzo zależało Panu na tem, by rzecz ukazała się na łamach „porządnego dziennika”! Na łamach „Głosu Prawdy”!

Przecież to Pan, Pan chyba przychodził do mnie wtedy z polecającym listem Juljana Tuwima, przecież to chyba Pan, po wydrukowaniu „Szyn” przysyłał mi jeszcze cały szereg innych swych utworów?

Na Boga! Jeśli mnie pamięć nie myli, to właśnie z tej nieszczęsnej coniedzielnej rubryki wierszy w „Głosie Prawdy” wyszły wasze nagrody, panowie, na turnieju poetyckim w uniwersytecie! Dlaczegoż to pół roku temu wtedy, tam w auli, nie byłem dla was szkodnikiem i podszczekiwaczem, gdym w gronie innych sędziów (pp. Kridla, Pomirowskiego i Ujejskiego) miał tę wielką przyjemność oznajmienia Wam, iż I-szą i II-gą nagrodę zdobyły wiersze drukowane już w „Głosie Prawdy”, wiersze Maliszewskiego i Słobodnika.

A zatem czy i Panów, — młodzi poeci, których talentom tyle poświęciłem zapału i jaknajlepszej woli, panie Maliszewski, panie Słobodniku, panie Ciesielczuku, panie Bibrowski, uważać mam za rybki wyłowione z mętnawej wody polskiego grafomaństwa?

Czy też Wy może uważacie mnie za szkodnika, z powodu, iż pierwsze, lub jedne z pierwszych Waszych wierszy drukowałem w „Głosie Prawdy”?

Czyż nie pamięta Pan, Panie Bibrowski tej pięknej radości, z jaką pisał Pan do mnie, z jaką przybiegł Pan później do mnie, z powodu swego debjutu poetyckiego w „Głosie Prawdy”? Czyż nie pamiętam dotąd listu młodej poetki Niny Rydzewskiej „szalejącej z radości” na myśl, iż poezje jej ukażą się w niedzielnym „Głosie Prawdy”?

Dlaczegoż to odsądzacie od wszelkich zasług tę coniedzielną rubrykę poetycką „Głosu Prawdy”, jeżeli rubryka ta umożliwiła debjuty, lub wsparła pierwsze kroki tak zdolnych poetów — jak Bibrowski, Ciesielczuk, Maliszewski, Rydzewska, Słobodnik i Wolica, że już nie liczę tylu innych, zapewne pomniejszych, lecz też przecie godnych jakiej takiej uwagi?

Sześć nazwisk poetyckich wyrasta z pomocą Dodatku Literackiego codziennego pisma, — to jeszcze mało? A któreż inne pismo codzienne może poszczycić się takiemi wynikami w dziedzinie literackiej?!

Czas już, sądzę, po tych jakże smutnych i gorzkich okrzykach przejść do rzeczy właściwej:

Czy — przypadkiem — „Dodatek literacki „Głosu Prawdy” a zwłaszcza jego rubryka poetycka i rubryka Odpowiedzi ,nie stała się złą, czy niepotrzebną dlatego, że między innymi popierani tak gorliwie przez redaktora tych rubryk doszliście już Panowie do swego własnego miejsca, swojej własnej trybuny?!

I uważacie, że gdy Wasza nastała, — to już wszystkie inne są złe i niepotrzebne i karygodne i podszczekujące?

Ależ Panowie. Gdy drukowałem pierwsze Wasze wiersze, starsi od Was koledzy po piórze zwracali mi właśnie na Was uwagę, jako na rybki, małe, niezdarne płotki, łowione w mętnej wodzie polskiego grafomaństwa. Odpowiadałem wówczas tym starszym od Was o lat parę, iż gdy mowa o nowych talentach, nie można przesadzać w surowości. Iż osiągnięcie perspektywy druku jest rzeczą bardzo trudną. Iż uwolnienie się z pod t. zwanych wpływów jest rzeczą mozolną. Wreszcie — że w polskiej literaturze tyle jest do zrobienia, tak wiele wszędzie na talent czeka miejsca, iż powinniśmy raczej liczyć zawsze na zwyżkę. Brać rzecz dobrą za lepszą, a lepszą za najlepszą. Zachęcać. Wytwarzać toksyny powodzenia, stimulanse radości.

Przechodzę teraz do pierwszego zarzutu: Sprawa mego wywiadu dla „Głosu Literackiego”. Wyświetlenie tej sprawy w łączności z atakiem p. Andrzeja Wolicy da nam poniekąd obraz zła, które pragnąłbym zwalczyć.

Jakżeto było z owym nieszczęsnym wywiadem?

Zgoła inaczej, niż podaje „Głos Literacki”.

Z ramienia „Głosu Literackiego” zgłosił się do mnie ktoś z kolegów, telefonicznie z prośbą o wywiad o określonej wyżej treści. Odpowiedziałem, iż wywiadu takiego wolałbym nie udzielać, nie wszystko bowiem podoba mi się w obozie najmłodszych tak, jak pragnąłbym, by mi się podobało.

Ostatecznie po wielokrotnych naleganiach ustąpiłem. Z współpracownikiem „Głosu Literackiego” spotkaliśmy się w kawiarni. Ucieszyłem się widząc iż współpracownikiem tym jest wojskowy. Oficer, — w randze, o ile się nie mylę, kapitana. Nazwiska nie pamiętam.

---

*) Tenże 13/14 numer „Głosu Literackiego” w rubryce „Korespondencja”.

Oświadczyłem owemu panu kapitanowi, iż dzięki temu, że jest wojskowym sprawa upraszcza się znacznie. Ja bowiem mam niewiele czasu, z wojskowym jednak będę mógł przecież posługiwać się terminologją zwięzłą, lapidarną. Zastrzegłem się przy tem, iż — oczywiście, — pan kapitan da mi gotowy już interview do przeczytania, nie chciałbym bowiem, by w sprawie tyczącej młodych pisarzy podawano opinje me do druku bez mego placet.

Zastrzegłem się tem silniej, iż w czasie, gdy precyzowałem moje poglądy pan kapitan nic nie notował. W pewnej chwili, widząc, iż słucha w dość trudnem skupieniu spytałem, — czy rozumie, o co mi chodzi?

Odpowiedział, że rozumie, co nie zdziwiło mnie, tembardziej, że wiele z mych poglądów rzekomo sam podzielał.

Obcowanie z wojskowymi dla byłego wojskowego, dla człowieka, który doświadczył powagi i rozkoszy koleżeństwa broni, jest zawsze wielką przyjemnością. Gwara wojskowa, zamaszysta i zawiesista i często brutalna, nieskromna, nie bierze się przecie z niczego, ani „z powietrza" ani też z rzekomego chamstwa.

Wprost przeciwnie, — ona to właśnie maskuje niejednokrotnie czułość ludzką, na której wyjawienie nie pozwalają twarde i ciężkie warunki wojennego życia.

Niemasz chyba na świecie brutalniejszej gwary i niemasz wdzięczniejszych serc, — od żołnierskich.

Dlaczego pan kapitan zdradził to koleżeństwo gwary wojskowej, dlaczego użył jej, jako publicznego argumentu pozostanie tajemnicą literackiego niewyrobienia pana kapitana, który, — przypuszczam, — iż w stosunkach wojskowych nie pomiesza chyba nigdy tego co się mówi „prywatnie", a co się mówi „służbowo".

Dlaczego panu kapitanowi pozostały w pamięci wyłącznie moje rejowskie zwroty a nie to, co mówiłem o najmłodszej naszej literaturze będzie dla mnie również tajemnicą. Mówiłem wyraźnie i poprostu, nie przypuszczam więc, by pan kapitan nie zrozumiał. Sądzę, że zrozumiał, a wywiadu mego nie podał do wiadomości, gdyż wywiad ten nie był dla młodych pisarzy „korzystny" w entuzjastycznym tego słowa znaczeniu.

W wywiadzie tym mówiłem, — niechże się teraz dostanie to już do publicznej wiadomości, — iż nasi młodzi nie pracują. Że stawianie przez nich t. zw. problemu społecznego nie pokrywa się z pracą poetycką, jakiej wymaga sondowanie problemów społecznych. Że poruszenie zagadnień pracy zjawia się u naszych młodych w formie nader powierzchownej. Widzą oni dany obraz pracy fabrycznej, czy rzemiosła i osądzają ów obraz, przetapiając go na walory poetyckie — fantazją miejskiego inteligenta. Czy społecznika. Że metoda ta do niczego nie prowadzi, dając stale obraz fałszywy. Co więcej, że metoda taka obraża pracę (wzniosłość problemu), zawsze wprowadza fałszywe współczucie i nie uwzględnia zasadniczych motywów pracującego gdyż nie może uwzględnić motywu miłości pracy.

Mówiłem (nauczony doświadczeniem długich obserwacyj i czynnej współpracy na kopalniach w naszem zagłębiu węglowem), że tak zwana niewola pracy jest mitem miejskiego inteligenta. Niema robotnika najciężej pracującego, któryby pracy swojej nie kochał. A zatem, że sprawa tak zwanej nienawiści klasowej przedstawia się o wiele głębiej i tragiczniej, niż może to sobie wyobrażać człowiek z zewnątrz.

A zatem, że jeżeli pragnie się tworzyć poezję pracy, to trzeba „poświęcić się", przełamać i pracować przy maszynie, w przędzalni, na przodku górniczym i t. d. Tymczasem młodzi poeci nie poddają się tej dyscyplinie, pożerani głodem druku, rozgłosu i famy.

Na dowód właśnie owego głodu famy przytoczyłem panu kapitanowi ów nieszczęsny konkurs, czy turniej poetycki, na którym młodzi poeci tak sprawę urządzili, iż nagradzani, czy koronowani byli niejako dwa razy: I przez wybrane jury (gdzie i ja miałem zaszczyt zasiadać) i przez publiczność, drogą plebiscytu. Cóż przykrzejszego, — mówiłem panu kapitanowi, — i cóż mniej godnego poety, — jak ów widok młodych pisarzy z tak bolesnem naprężeniem śledzących ruch i maszynerję zdawkowego głosowania „tłumu"?

W interwjewie tym krytykowałem również ów pośpiech bezprzykładny z jakim młodzi pisarze rwą się do druku, walczą o miejsce, skupiają się w obóz jakowyś a w walce tej zapominają o rzeczy najistotniejszej, to jest *o dziele poetyckiem*. Dochodzimy już przecie do składkowych tomików, które mają po 15, 20 stronic małego formatu wierszy. Wiadomo, że nie ilość rozstrzyga. Nie może jednak, poprostu sprawy biorąc, — nie może dzieło nie przekraczać ilością swą form i rozmiaru ulotnych kilku kartek, notatnika.

Inaczej mówiąc, chodziło mi w tym interwiewie *o dyscyplinę pracy*. I o tosamo chodzi mi w tej polemicznej rozprawie z młodymi: Piszecie, panowie, że wcześniej, czy później — i tak „nieubłagana siła konieczności" postawi Was na nasze miejsce.

Innemi więc słowy stwierdzacie: Gadajcie (wy starsi) co chcecie, jesteście starsi, wcześniej urodziliście się, wcześniej będziecie musieli umrzeć a wtedy i "tak" my przyjdziemy.

Owszem, owszem, naogół tak bywa w życiu, że kto się wcześniej urodził, ten wcześniej umiera. Tak bywa niezmiennie prawie w życiu przyrodniczem. Lecz tego rodzaju punkt widzenia stosować w życiu kultury, w sztuce — to jednak wkońcu, — najdziksze, kosmate, zaropiałe kanibalstwo. Bo nie o to chodzi, zaiste, kto i na jakiem miejscu wygody, czy rozmiaru, czy nawet wpływu i rozgłosu stanął! Lecz jaką wysokość osiągnął i jaką chwałę duchowego trwania.

Więc tylko Kanibale wychodząc z jakiejś szkoły, czy wychodząc z zakresu przez nich samych skwapliwie wyjednanej opieki, — plują na ową szkołę i szydzą z tej opieki. Ludzie kultury wiedzą, że chociaż szkoła owa, czy opieka jest już im niepotrzebna, to przecie za nimi idą inni, młodsi, którym znów szkoła owa, lub opieka przydać się może i usłużyć.

Więc tylko Kanibale, gwoli zdobycia jakiegoś własnego miejsca, czy waloru czy stylu, czy form nowego tworzenia, — niszczą przed sobą i za sobą. Gdyż nie mają jeszcze *poczucia rozciągłości kultury i tworzenia*, gdyż nie zdołali jeszcze widocznie zrozumieć, że dobra tego rodzaju tworzy się przez szeregi współpracujących pokoleń.

Gdyż nie rozumieją, że dzieło nowe zwycięża dzieła starsze i stare nie w walce na pięście, czy na zręcznostki dziennikarskie, lecz zwycięża trwałością i powagą nowości i wszystkiem tem, co z dzieł starych umiało w sobie przetrawić bez reszty i wszystkiem tem, czem miłość młodsza i gorętsza przewyższa miłość starszą a już wypowiedzianą.

Nie uważam się bynajmniej za wzór cnót pisarskich a jednak gwoli ustawienia całego problemu na właściwem miejscu powołam się na przykład z mej własnej karjery piśmienniczej. Gdy zaczynałem pisać zdawało mi się, że proza nasza zalana jest i przerośnięta nadmiarem liryzmu. Że roztrzęsiona jest niejako dowolnością romantycznej, aż nazbyt romantycznej kompozycji. Że elementy te wprowadza do prozy naszej przedewszystkiem Żeromski, za nim zaś i Strug i Daniłowski i ci wszyscy, których wtedy uważałem za swych poprzedników.

W tem przeświadczeniu zabrałem się wówczas do pracy, która, przypuszczałem, iż będzie niejako odtrutką. Zabrałem się do swych Zawodów. Wyobrażałem sobie, że co tamci wielcy, już uznani, rozpylają marzeniem, rozwiązują epifenomenem, cudem, czarem i t. p., to ja zamknę niejako wewnątrz samego zagadnienia, przeorzę w samym procesie akcji. Zdawało mi się wówczas, — że przeciw *dziełu* poprzedników wystąpię z *dziełem*. Z dziełem, które jest i być musi dalszym etapem, dalszym rozwojem na tej samej drodze.

Aby mnie lepiej zrozumiano nie ustawałem w staraniach nawiązania łączności z tymi starszymi. Wygłaszałem wielką ilość odczytów pełnych najszczerszego entuzjazmu na temat tych, z których — w mniemaniu mojem, — wywodziła się moja praca.

Aby mnie lepiej zrozumiano. Aby publiczność, lud, tłum, aby masa wciąż odczuwała związek i ciągłość tego związku, że my, że nasze dzieło to coraz dalsza, lecz wciąż tasama praca sumienia, piękna i miłości w polskim obyczaju.

Skoro więc atakujecie panowie rubryki, na których tak Wam dobrze było do niedawna, skoro nieuczciwym zwiecie sędziego, którego sami wynosiliście na ów urząd sędziowski, skoro czynicie to wszystko gwoli tych czasów, kiedy „nieubłagana konieczność" Wami nas zastąpi, pozwólcie, że odpowiem Wam z tej zawsze dla Was gościnnej trybuny. Nawet śmierć nasza, młodzi drodzy koledzy nic Wam nie pomoże, — o ile przeciw dziełom naszym i pracom nie wystąpicie z jeszcze większą pracą.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

SERGJUSZ JESIENIN

POEZJE

***

O kraju dżdżów i niepogody,
ciszo, wlokąca się przez step,
pod wklęsłem niebem księżyc młody
leży złamany niby chleb.

A wdali za zoraną niwą
czuć macierzanki mocną woń.
Dojrzała gwiazda jakby śliwa
na chmur gałązce wsparła skroń.

I znów przez drogę równą, senną
naprzekór nędzy twej i złu
kroczę i czuję znów wiosenność
z błękitnych rzeki mknącej słów.

Kłębi się, pląsa dym z moczarów
lecz i w wojłoku śpiewnej mgły
niewysłowionych pełną czarów,
o ziemio! widzę cię przez łzy.

***

O codzienny widoku, jak nużysz! —
tym jesiennym ołowiem deszczowym,
tą latarnią, co w czarnej kałuży
wciąż odbija swą bezwargą głowę.

Nie, już lepiej wzrok swój przed tem strzec,
by gorszego czegoś nie zoczyć
Ja na wszystek ten rdzawy szmelc
będę mrużył i zwężał oczy.

Tak jest cieplej i mniej trochę boli.
Spójrz: pomiędzy szkieletami domów,
niby młynarz, dzwonnica powoli
dźwiga wory swych miedzianych dzwonów.

Jeśliś głodny, będziesz miał żarcie,
gdyś nieszczęsny, będziesz wesół, rad.
Tylko nie patrz, nie patrz tak otwarcie,
mój ty bracie nieznany, na świat.

I zrobiłem, jak pomyślałem,
lecz niestety! wciąż to samo jeszcze,
snać zanadto już przywykło ciało
czuć to zimno i te ciągłe dreszcze.

Lecz cóż z tego? Nie martwię się zgoła.
Nie sam kroczę poprzez ziemski trakt!
A latarnia chichocze wesoło
i bezwargą głową bije w takt.

I jedynie szepcze serce małe
walczącemu z poza ziemskich twierdz:
— Przyjacielu! Oczy, co przejrzały,
umie zamknąć tylko jedna śmierć.

***

Jam ostatni już piewca wsi piękna,
z prostych desek most pieśni swych ścielę.
Przy ostatniej nabożnie mszy klękam
w brzóz dymiących listowiem kościele.

Wnet dopali się złotym płomieniem
mego ciała woskowa gromnica
i wychrypi dwunastą godzinę —
moją północ — już zegar księżyca.

Na błękitne pól naszych zagony
wkrótce przyjdzie już gość cały w stali.
Ziarna owsa, krwią zorzy pojone,
zgarnie czarna jego garść zuchwale.

Martwe, obce, bezlitosne dłonie,
któraż z pieśni mych z wami zostanie!
Tylko będą jedne kłosy-konie
tęsknić, płakać po swym starym panie.

I wiatr tylko ssać ich będzie rżenie,
jak żałobna tańcząc tanecznica.
Wkrótce, wkrótce dwunastą godzinę
już wychrypi mi zegar księżyca.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski.

HISTORJA O MĘŻYŃSKIM

Mężyński to prawdziwa ciamajda i niezguła. Wystarczy mu popatrzeć na gębę. Rumiany, okrągły z wiecznie na bok pochyloną głową, patrzy lękliwie jak chore kurczę. Ma niebieskie wodniste oczy podobne do oczu płaczącej ryby.

Czasami jednak umie wrzeszczeć za dziesięciu. Dopóki sam krzyczy to dobrze. Ale wystarczy by, który profesor zmarszczył brwi i krzyknął grubo— Mężyński! — a zaraz Mężyńskiemu cieknie z oczu jak z dwu kurków. Nie płacze nawet, tylko po twarzy ciur-ciur — cieknie bez końca. Potem nagle wszystko wysycha, znika, ale oczy ciągle są wilgotne, wiecznie gotowe do moknięcia. Tak, jak psy od krzyku kładą się na podłogę, tak Mężyński beczy. Patrzy przytem prosto w oczy profesorowi, jak szlochający aniołek tylko, że zwyczajnie źle zaczesany i umorusany.

Mężyński jest przytem okropny kłamczuch. U niego ciągle dzieją się niezwykłe rzeczy. Codziennie przed jego domem idą procesje pijaków, którzy się okropnie ze sobą biją. Tramwaj nie jeździ po szynach tylko po ludziach, i od czasu do czasu zawali się jakaś kamienica, którą jak się potem pokazywało ustawiono z powrotem.

Raz przychodzi Mężyński dobrze po dzwonku do klasy. Prawe oko ma jeszcze pozlepiane, włosy tyle, że wodą zalane a buty zupełnie nieczyszczone i kawałek żółtka z jajka na miękko na twarzy.

— Ty masz żółtaczkę mówi profesor

— Nie uśmiecha się Mężyński.

— Masz — woła ostro profesor

Mężyńskiemu pociekło trochę z oczu i wyschło.

Naraz profesor z ciekawością ogląda mu buty. Mężyński już modl' się do kogoś w górze i puszcza wodę znowu.

— Ładne były niema co mówić. — Gdzie sznurowadła — aha pod spodem. Dobrze — dobrze! nie potrzebujesz pokazywać. Dla ciebie widzę każda droga do szkoły dobra. — Fe! — fe! — woła oburzony.

Okazuje się, że Mężyński włazi w cokolwiek po drodze. Wszystko mu jedno. Klasa milczy ponuro.

— Wyjdź i otrzyj to ciastko z buta. Mężyński przechyla głowę żeby lepiej łzy spływały i wychodzi. Naturalnie przyszedł dopiero na następną lekcję.

Wszyscy przywykli do tego, że Mężyński nigdy nic nie umie. Dlatego oczywiście tak doskonale udaje, że płacze. Nikt z kolegów nie wierzy, by on naprawdę płakał.

— Wszystko zmyślone i udane. Wiadomo przecie co to za kłamczuch. Zresztą niema człowieka któryby mógł tak często na prawdę nie na żarty płakać.

Umie tylko wiersze polskie. Mówi je prędko bez kropek i — przecinków ale nigdy się nie myli, z wierszy, ma bardzo dobrze, z wszystkiego innego, czwórka jak wół. Czyta natomiast długim smętnym jękiem, nie popsutym żadnym akcentem, jakby kogoś prosił o zmiłowanie. Raz przyszła jego mama, praczka, do kancelarji, zupełnie Mężyński, nawet niewiele większy, tylko, w spódnicy. I niedługo potem Mężyński zrzucił czapkę uczniowską i ubrał się w ogromny kaszkiet w kratki, spadający mu na uszy. Dwa lata temu, ktoś zostawił ten kaszkiet w szkole. Dyrektor dał go Mężyńskiemu. Przestał chodzić do klasy. Jest teraz chłopcem do posyłek w kancelarji. Roznosi listy po mieście i biega do profesorów na górę. W wolnych chwilach siada pod murem szkoły i gra sam ze sobą w guziki.

Codziennie o pierwszej przychodzi drugi Mężyński w spódnicy; bierze go za rękę poprawia kaszkiet, obciąga na nim za wielki płaszcz a potem oboje całują dyrektora w rękę i wracają do domu.

Stefan Balicki.

ANARCHJA W DZISIEJSZEJ POEZJI POLSKIEJ*).

Polska jest krajem tranzytowym między zachodem a wschodem. Chrześcijaństwo, humanizm, reformacja, reakcja katolicka, oświecenie, romantyzm, filozofja niemiecka, pozytywizm francuski, ewolucjonizm itd. itd. aż do sportu i Charlestona włącznie, wszystko waliło się tędy przez kraj i przez dusze pozbawione naturalnych granic i sztucznych twierdz. Wszystkie te prądy powoli, niedostrzegalnie, niosły z sobą nihilizm europejski, który dzisiaj opanował całe życie duchowe.

Niektórzy myśliciele są skłonni mniemać, że nihilizm jest następstwem rozkładu chrześcijaństwa, które jeszcze w wiekach średnich dawało życiu niezbędny cel i sens istnienia. Intelekt przenikał chrześcijaństwo coraz bardziej, humanizował je, pozbawiał pierwiastka cudowności i wreszcie zlikwidował zupełnie. Nietsche obwieścił światu, że Bóg umarł i świat nie przeraził się tem bynajmniej, chociaż Dostojewskij przewidywał ogromne, serdeczne zbliżenie się sierot - ludzi, gdyby się kiedyś rozniosła wieść, że Bóg umarł.

Chrześcijaństwo zaczęło się rozkładać, niestety, już wtedy, gdy apologeci i ojcowie kościoła utrwalali je przy pomocy rusztowania z filozofji greckiej. W pytaniach i odpowiedziach elementarnych katechizmów powtarzamy nie naukę apostołów, ale zdania Arystotelesa. Chrześcijaństwo, które chciało być czynem miłości i miłosierdzia, stało się dogmatem i monarchją uniwersalną. Polityka rozłożyła monarchję, wiedza zakwestjonowała dogmat. Nihilizm nie jest przypadkiem i wynikiem czyjejś złej woli; jest to fala ewolucyjna, po której przyjdzie inna, albo jeśli kto woli, jest to forma pusta, w którą dusza ludzka musi włożyć nową treść.

Tragedją Polski było to, że tranzyt kończył się jeszcze przed jej wschodniemi granicami i że nie

*) Oddając do druku „Anarchję w dzisiejszej Poezji Polskiej", Redakcja zastrzega sobie własne stanowisko w sprawach z tak świetną swadą poruszanych przez autora.

szedł daleko, w głąb kontynentu azjatyckiego. Tuż u granic polskich prądy europejskie spotykały się z martwemi wodami carskiej Rosji, która chciała istnieć po wieki wieków stagnacją i odosobnieniem. Wytwarzały się wiry i leje jakichś Molstroemów dziejowych, niebezpiecznych dla bezwładu. Piotr Wielki, Katarzyna i ich następcy, likwidowali bezwład właśnie wtedy, gdy w Polsce zadomowiał się on jako mądrość stanu w reakcji katolickiej i gdy najwyższą zasadą było twierdzenie, że Polska nierządem stoi.

Dalszy ciąg jest we wszystkich szczegółach cudownie konsekwentny. Paradoks zadomowia się w Polsce na stałe. Polityka katolicka, która stanęła na straży narodu, aby go bronić przed wynarodowieniem, wynarodowiła się pierwsza. Wyrzekła się wszystkiego, co było rdzennie polskie i czem można było groźnie przeciwstawić się wrogowi, i zeszła na grunt, na którym chcieli ją mieć zaborcy. Słowacki wiedział, że ideą wyrżniemy się jak ząb z łona Rosji, oczywiście, ideą własną, ale polityka zaakceptowała ideę zaborcy. Imperjalizm carski i nacjonalizm pruski przyjęła za ideał niedościgły i szowinizmowi potężnemu przeciwstawiła szowinizm lichutki, słaby i śmieszny. Aby uniknąć sprusaczenia i zmoskwiczenia, trzeba było według tych polityków stać się Prusakami i Moskalami. Nienawidziło się prusactwo, ale mu się zazdrościło. Sprawiedliwość dziejową wyobrażano sobie w postaci polskiej komisji kolonizacyjnej, która kiedyś zacznie odgrywać się uczuciowo na Niemcach. Tymczasem antysemityzm był terenem ćwiczeń stylistycznych, mający wychować przyszłych Bismarcków. Prusactwo i moskwieszczyznę tłumaczono żywcem i szybko na polskość, jak później zabrano się do faszyzmu, bez cienia ambicji, bez drobnej próby stworzenia czegoś prawdziwie polskiego. Jedynozbawcza polityka osiadła w szańcach, w które została zepchnięta przez zaborców i okopała się tam przed wszystkiem, co było postępem i przyszłością. Jak stara lokomotywa, która przed ruszeniem z miejsca, cofa się gwałtownie wtył, tak ta polityka nie spuszczała oka z tego punktu dziejów, gdzie się urwała niepodległość. Nałóg myślowy ustalił zbiórkę w okolicach Targowicy, czy Baru z Ojcem Markiem, skąd się dopiero ruszy w przyszłość. Przez bardzo długi czas przyłością była przeszłość.

Tymczasem konserwowano się religją. Naród polski był narodem katolickim. Ten dogmat wyłączał wszystko niekatolickie jako obce i nieswoje. Ale wystarczał katolicyzm naskórkowy, jak go scharakteryzował Brzozowski: przeżegnanie się przy sposobności, zdjęcie czapki przed krzyżem, porządny stół postny na wilję Bożego Narodzenia i rzetelne kiełbasy z szynkami na Wielkanoc, przy odpowiedniej obfitości trunków, strzelanie na rezurekcję, tatarak na Zielone Święta i t. d. Na Ewangelję polski pan przysięgał — jak to stwierdził niezapomniany Andrzej Niemojewski, ale coby tam w tej Ewangelji być mogło, o to się nie troszczył. Bractwo różańcowe, sztandar cechowy w procesji, sodalicja, prześladowanie bluźnierstw, nabożeństwa uroczyste i żałobne, to było mniej więcej wszystko.

Przy tej religji żyły sobie spokojniuteńko w duszy wiernego wszystkie filozofje, socjalizmy, darwinizmy, materjalizmy, a nawet ateizmy. Jedno i drugie szło z obcego świata, nic nie kosztowało, nic nie zostało domyślane do końca, bo jak radził Dzieduszycki, trzeba te rzeczy zostawiać księżom. Ustalono tylko jako niezachwiany dogmat narodowy, że kto nie katolik, ten nie Polak. Pan F. Brodowski powiedział, że można sobie wyobrazić Polaka sprzedawczyka, zdrajcę, renegata, który dla pełnego żłobu wyrzekł się wiary i narodowości, ale Polaka innego wyznania — nie! Niech idzie na mszę i zaraz otworzy mu się furtka polskości. Pan Artur Górski zignorował to objawienie i stwierdził z boleścią, że lud polski wie, iż jest katolicki, ale nie wie, że jest polski. I przez jakieś nieporozumienie zwrócił się p. Górski do kościoła, aby stworzył dogmat patrjotyzmu. Instytucja międzynarodowa i kosmopolityczna, uważająca rozszczepienie na narody za karę boską, miała dawać natchnienie nacjonalizmowi. Pan Brodowski powiedział, że jedna msza wystarczy, aby z innowiercy uczynić stuprocentowego Polaka. p. Górski stwierdził, że i tysiąc lat odprawiania i słuchania mszy nie zdołało zrobić z ludu mieszkającego w Polsce, ludu polskiego. Anarchja myślowa zupełna.

A jednak na takich kruchych podstawach opierano nacjonalizm, ostatnią i rzekomo najpotężniejszą ostoję wszelkiego narodu. Czemby zaś był ten nacjonalizm, skąd się wziął, jaka jego treść, o to nikt zatroszczyć się nie umiał. Symbol fonetyczny czegoś nieokreślonego musiał wystarczyć i musiał spełniać swoje, jak spełniał swoje obrazek św. Florjana na nieubezpieczonej chacie i figura świętego przy wyboistej drodze. Stosunek do świata był magiczny. Jak w wiekach średnich astrolog usiłował wyczytać mądrość z gwiazd, bez mozolnego uczenia się, a alchemik chciał wytopić z ołowiu złoto, aby uniknąć konieczności gmerania się w ziemi i szukania żył złotonośnych, tak obywatel relikwją, gestem, słowem odczyniał zło, czyhające wszędzie na pobożnego chrześcijanina. Często, oczywiście, nie wiedział, czy jest chory z uroków, czy z przepicia. Doznawał atoli zawsze ulgi, gdy na ścianie sejmu, czy w szkole zawiesił krzyż. Coś się zaraz w świecie zmieniało na lepsze.

Taki stosunek do świata, zawiera w sobie wszystkie elementy anarchji. Brzozowski wymownie wyłożył, że najgorszym wrogiem naszym jest wszystko nieopanowane, niezrozumiane, nienazwane. Ale Brzozowski sobie, a życie sobie. Pojęcia moralności i niemoralności przekazali nam dalecy pustelnicy z jałowych piasków libijskich. Według ich zasad grzechem najśmiertelniejszym jest życie samo i folgowanie obu jego popędom: osobniczemu i gatunkowemu. Najmilszym Bogu jest człowiek odseparowany od bogatego stołu i miękkiego łoża. Gdzieś w głębi dusz naszych pokutują dziedzictwa św. Antoniego, chore miłoście i nienawiście, święte perwersje i ascetyczne wyuzdania. Poeci mówią nam niekiedy za ojcami kościoła, że **femina nocivum genus, via iniquitatis, janua diaboli, scorpioni percussio...** A gdy siadamy do bogato zastawionego stołu, z głębi istoty jęczy zcicha dusza, którą zabieramy się przywalić płatami indyka, sarniny, kawałami słodkich ciast, zalać odurzającemi alkoholami. Z pod świadomości wyłania się daleki przodek duchowny i mówi nam, że im słabsze ciało, tem mocniejsza dusza, że trzeba

to ciało umartwiać, aby dusza krzepła dla wiekuistych uciech, a tu przy stole siedzi jakiś kanonik, czy prałat i lśniącym naskórkiem swej tuszy zachęca do używania darów Bożych.

Ale przy stole siedzi także ascetka współczesna: dama. Zupy spożyła trzy łyżki i połknęła okruszynkę chleba, ze smakowitych mięsiw weźmie tyle, ile potrzeba, aby pokazać, jak ślicznie obchodzić się umie z widelcem i nożem. Surowy post jest obowiązkiem, z którego wyłamać się nie może. Musi być smukła, może pić tylko tyle a tyle płynów, jeść tyle a tyle mięsa i pieczywa. Nie biczuje się wprawdzie, jak zakonnice średniowieczne, ale masaże ręczne i mechaniczne, gimnastyka okrutna i kąpiele są udręką niemałą. A wszystkie te umartwienia ciała czynione są nie dla duszy, lecz dla ciała: aby było długo smukłem, wiotkiem, krzepkiem, aby jak najdłużej odpierać natarczywą starość, bronić się zmarszczkom i móc się rozdawać do lat niesędziwej sędziwości admirującej napastliwości mężczyzn. Ciężka, nieubłagana asceza dla trwałości i stałości przeradosnej poligamji!

Pomaga jej skutecznie szata, która przestała już dawno okrywać, ale zato odkrywa, podkreśla, napomyka, pobudza zbyt leniwą wyobraźnię. Gdzież są szaty ascetek, pozapinanych po samą brodę! Wydręcza się z ciała wszystko, co tylko można, nie poto oczywiście, aby jego wdzięki schować. Ekshibicjonizm z książek uczonych specjalistów przeszedł w życie i trwoni pełnemi garściami kapitały gromadzone przez skromne i pobożne babki i prababki. Zaś kusość szaty nadsztukowuje się misternie przygodnem „domaganiem się" nienaruszalności sakramentu, nie wprowadzeniem ślubów cywilnych, nie ułatwianiem rozwodów, bo się naród rozleci. Dadaizm moralny oburza się na dadaizm literacki, skubizowane do ostateczności życie protestuje uroczyście przeciwko gorszącej literaturze, chociaż należy raz na zawsze ustalić. że to zawsze i wszędzie literatura gorszyła się od społeczeństw, nie przeciwnie.

Nie ma racji interesujący skąd inąd Benedetto Croce, że dzieło sztuki jest sprawą indywidualną. Już sam fakt, że artysta i poeta nie tworzy dla siebie, ale dla jak największej gromady, czyni ze sztuki sprawę par excellence społeczną. Poecie nie jest obojętnem, czy zapala, czy nudzi. Swej współczesności mówi poeta: Tak! Albo mówi: Nie! Wielki poeta to często wielki buntownik. Ne chodzi o koturn stylu i patos grandilokwencji. Są słowa, które szeptem obalają porządki istniejących światów. Pieśniarze wędrowni roznosili ongi po świecie nowinki obyczaju, wieści niesłychane, herezje nowych pragnień, i dlatego otwierały się przed nimi bramy miast, spuszczano im pod stopy zwodzone mosty zamków, otwierały im się też serca słuchaczy, kobiety poczynały z ich ducha nowe pokolenia. Pieśniarz przekształcał świat skuteczniej i utrwalał od Aleksandrów Macedońskich i wielkich budowców miast nad szerokiemi rzekami i nieobjętemi żadnem okiem morzami. Pieśń była władcza przy całej wytworności i delikatności, pieśniarz władał duszami. Pozostała w nas ta nieświadoma cześć dla poety jako objawiciela. Jeśli odsłania nam rąbek nowego świata, cześć przemienia się w miłość. Ale jeśli przychodzi z niczem, jeśli nie zdoła serca zapalić, to chłód zamienia się w pogardę, jak dla wesołka, który daremnie usiłuje wywołać śmiech, lub choćby uśmiech.

Domaganie się jawności dyplomacji jest tylko jednym z objawów jawności życia. Przestajemy być prywatnymi i stajemy się społeczeństwem indywidualności. Poezja prywatnej przyjemności nie zaciekawia, czasem odraża. Mamy podziw dla poety, który idzie na podbój świata dla swoich uczuć wszechludzkich, który dużo dając, dużo od nas wymaga, ale jakże często znajdujemy się w hałasie werbalizmu pozbawionego treści lub ubogiego w sens aż do pustki włącznie. Tu i owdzie talent duży bez ambicji podbicia świata, żonglowanie słowem o słowie, winietki, które nadawałyby się na flakony z perfumami czy na puderniczki, wróżenie na imionach jak na zasuszonych kwiatach, nudne już po trzykrotnem powtórzeniu, wzywanie pilota, aby nie całował, chociaż pilot i tak się sprowokować nie da, bo „**man merkt die Absicht und man wird verstimmt...**" Dawny władca, monarcha w swem państwie talentu, staje się anarchą, nie włada nad nikim i nad niczem, nawet nad sobą. Gdy np. Zegadłowicz powiada, że „sam na sam z Bogiem rozmawia", to wiemy, że nie odpowiada to żadnej rzeczywistości, że to jest taki sobie **façon de parler**, jak „korzenie się Chrystusowi frasobliwemu", co również znaczy bardzo nie wiele, a gdy wreszcie wywodzi, że powsinogi są, czy mają być emisarjuszami zbliżającego się cudu, zamykamy książkę i powtarzamy sobie dla pewności fakt, że była wojna światowa, że ta wojna trwa, że ważą się szale o panowanie nad światem, że jedna szala jest w Moskwie a druga w Rzymie, że z zetknięcia się dwóch przeciwieństw — antytez narodzić się musi według doświadczeń historycznych nowa synteza. Miło jest wtedy pomyśleć, że na puszczy werbalizmu nie brak jednak zwiastunów królestwa Bożego i że obok poetów — żonglerów i wesołków są i tworzą poeci — bohaterowie.

Jeśli Staffa doliczymy do starszego pokolenia, to śród dzisiejszej poezji dostrzeżemy niewiele zmysłu dla rzeczywistości i prób rytmizowania chaosu. Poza kilku poetami, przychodzącymi z objawieniem i nakazem, reszta gubi się w anarchji. Talenty, czasem duże, ale nie wiedzące, co z sobą począć. Niechby sobie przeczytali słowo apostoła Pawła: „Choćbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brzękająca..." A radykalny teoretyk poezji, Günter Pohl, domaga się od poety oprócz talentu jasnego celu, wytrwałości i charakteru.

Życie zmieniło się do gruntu we wszystkiem. Poezja nie jest obowiązana przyjmować te zmiany do wiadomości, ale musi się policzyć z tem, że i życie nie przyzna się do niej jako do swojej poezji.

P. Hulka-Laskowski.

KANTORBERY TYMOWSKI W TOWARZYSTWIE PRZYJACIÓŁ NAUK[1])

Oprócz czasopism, wychodzących z kraju chwilowo jeszcze niepodległym i Komisji Edukacji Narodowej, oraz Kolegjum Stanisława Konarskiego, żadnej innej poważniejszej instytucji kulturalnej w drugiej połowie wieku XVIII w Polsce nie było może dlatego, że w tym czasie zajmowano się z jednej strony wyszydzaniem starego, spruchniałego społeczeństwa przez widowiska i cięte satyry; z drugiej strony na gruzach walącego się gmachu murowano fundament pod Zakład, który później nazwano: „Nową Szkołą". Prof. Bruckner pisze, że: „Warszawa Stanisławowska nie zdobyła się na uczone towarzystwo czy akademję, chociaż krzątał się koło tego już referendarz koronny Załuski" [2]). Wprawdzie istniały różne elementarne towarzystwa, które miały na celu kształcić młodych obywatelów Państwa na dobrych synów ojczyzny, lecz już było zapóźno, a jednak „Komisja Edukacji Narodowej", która w tak krytycznym czasie dla Polski podniosła ducha narodowego w społeczeństwie, bo Polacy chodzili, jak zbłąkane owce, nie wiedząc: „czy bezpieczniej okręt opuścić i płynąć; czy być w okręcie, ocalić lub zginąć" [3])).

I podzielili się na dwie grupy: jedni opuścili kraj, walcząc w imię wolności za sprawą polską na obczyź,nie, drudzy uważali, że: „Poczciwiej być w okręcie ocalić lub zginąć". Zostali i zgromadzili się po raz pierwszy dnia 11 listopada 1800 r. u Sałtyków pod nazwą „Towarzystwo Przyjaciół Nauk", liczących około 30 członków wykluczając z zasady pytania polityczne, religijne i obejmowało wszystkich niemal członków byłej Komisji Edukacyjnej [4]). Tego kulturalnego czynu dokonały dopiero rozbiory Polski, czego nieprzeprowadzono za kwitnącej Rzeczypospolitej. Chęć ratowania się, ocalenia języka od zagłady, połączyło grono ludzi dobrze myślących za staraniem byłego podstolego koronnego, Stanisława Sołtyka [5]). Nie jest mojem zadaniem pisać historję Towarzystwa, bo już taką posiadamy, objętą dość w szerokie ramy przez Al. Kraushara, lecz ogólnie scharakteryzować jego działalność w kraju i dla kraju[6]). Towarzystwo rozwijało się w pełnym toku pod prezesurą Ks. Albertrandjego i zbierano się na zebrania, na których omawiano różne sprawy społeczne, a przedewszystkiem zagadnienia naukowe. Jakiż był cel Towarzystwa? „Przykładanie się do rozszerzenia nauk i umiejętności w polskim języku, bo te w wieku XVIII były traktowane po macoszemu".

„A cóż to mój uczony chudy mości Panie?
Już to temu dwa lata, jak w jednym żupanie
I w jednej kurcie literackie boki"... i. t. d. [7]).

Trzeba było podnieść stan oświaty w współczesnej Polsce.

Nad tą reformą pracował już zasłużony pijar St. Konarski z całą plejadą i właśnie jemu zawdzięcza wiek XVIII miano „wieku oświecenia" w Polsce, ponieważ był twórcą „Nowej szkoły" już tutaj wymienionej.

Nietylko Towarzystwo zajmowało się sprawami czysto naukowemi, lecz chodziło mu także o popularyzację i przystosowanie nauk, jak o pożyteczne wynalazki i podniesienie gospodarstwa domowego; dzieje ojczyste i język wysuwały się jednak mimowoli na plan pierwszy[8]). Pomimo zmian politycznych i wojennych na terenie państwa polskiego. Towarzystwo nosiło charakter czysto naukowy, może dlatego, że prezesami byli ludzie wielkiej sławy na polu kulturalnem nietylko w Polsce, ale i w Europie, oraz nieskazitelnego charakteru jako patrjoci i obywatele nieistniejącej już na mapie Polski, ale potężnego i nieśmiertelnego jej narodu. Nic więc dziwnego, że otaczali się członkami godnymi zaufania dla Towarzystwa. Między tymi członkami za prezesury Juljana Ursyna Niemcewicza, przedstawiony dnia 1 lutego 1924 r. przez deputację Towarzystwa Przyjaciół Nauk z pośród 16 kandydatów do głosowania Tomasz Kantobery Tymowski, głośny swego czasu wierszopis. Biesiadnicze jego toasty krążyły w licznych po kraju odpisach. Znajduje się rękopis w Aktach Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk następującej treści: „Niżej podpisani" Skarbek i K. Brodziński członkowie czynni Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk", mają zaszczyt proponować do przyjęcia w poczet przybranych członków Towarzystwa, rodaka znanego z talentu swego do rymotwórstwa, który w pieśniach dotąd drukowanych niewątpliwie dał tego dowody i Towarzystwu przez prace swoje wielce użytecznym stać się może, to jest: Tomasz Kantorbery Tymowski. Zasługi jego literackie są. Z pism drukowanych i ogłoszonych, tutaj następuje wymienienie ilościowo utworów autora „Dumań", oraz tłumaczeń tragedyj Waltera od Horacego i liryk Tibulla, Goethego i Schillera. Data listu z dnia 1 lutego 1824 roku[9]).

Autor „Narodowości" po otrzymaniu tak miłej dla niego nominacji, odpowiada listem z dnia $\frac{23-14}{4}$ maja tegoż roku: „Przysyłając JWP memu Dobrodziejowi deklarację moją z powodu wyboru mię na członka

---

1) Tomasz Kantorbery Tymowski (1790 — 1850) poeta legjonista, referendarz Stanu Król. Pol., poseł na sejm w 1831 r. Po powstaniu listopadowem udał się na „Emigracje" i tam umarł. Pisał ody, pieśni sielanki, anakreontyki, epigramy, elegje, bajki, wygłaszał różnego rodzaju mowy w kraju i zagranicą, szczególnie tyczące się uroczystości narodowych lub towarzyskich. łumaczył utwory Waltera, Horacego, Tibulla, Gochego, Schillera, oraz wielu innych autorów z języka włoskiego i francuskiego.

2) Prof. Al. Bruckner: Dzieje lieratury polskiej w zarysie + II str. 7.

3) Ignacy Krasicki: Satyry i listy wyd. kryt. L. Bernackiego 1909 str. 66.

4) Al. Bruckner: Op. cit. t. II str. 7.

5) Al. Bruckner: Op. cit. t. II str. 7.

6) Al. Kraushar: Tow. Przyjac. Nauk tomów 8, od 1800 do 1831 r.

7) Prof. Ign. Chrzanowski. Hist. lit. niep. Pol. str. 492.

8) Al. Bruckner: Op. cit. t. II, str. 9.

9) Akta Tow. Przyjac. Nauk. 1831 — 1837, vol 19, karty: 68 i 89.

Towarzystwa Królewskiego, a przepraszając za zwłokę szczęśliwym się sądzę, iż mogę oraz przesłać Mu wyrazy rzetelnego szacunku i upoważania, jak zawsze JWP Dobrodziejowi uniżony sługa Tymowski"[10]).

Ta zwłoka, za którą przepraszał Tymowski datowała się od 1 lutego do $\frac{23-1}{4}$ maja tegoż roku. Dlaczego nie spieszył się z odpowiedzią autor „Dumań" niewiadomo, prawdopodobnie chwilowo zajmowały go sprawy publiczne, a najmożliwiej domowe, z których nie bardzo był zadowolony. „Wskutek układów familijnych ożenił się Tymowski przeciw własnej i swej żony skłonnościom. Był to cios dla jego talentu, a więcej jeszcze dla szczęścia domowego, do którego tyle był zdolny, gdyby był znalazł serce odpowiadające. Przymuszony żyć z wystawnością, spraszając w dom swój najdostojniejsze stolicy osoby, wśród świetnych zabaw zatrute mając serce niesmakami domowemi i wydatkami, które możność jego przechodziły, stał się pastwą szydzących gości natręctwa dłużników"[11]).

Nic więc dziwnego, że:

„Jak śnieg co na kwiaty pruszy,
A Feba wejrzeniem ginie;
Tak troski cnotliwej duszy,
W wesołej nikną godzinie"[12]).

Na zebraniach Towarzystwa czytano artykuły, rozprawy z różnych dziedzin wiedzy, zwracano szczególną uwagę na język narodowy, a przedewszystkiem na jasność czystość, zwięzłość stylu i na wytrawność mowy ojczystej.

Okazuje się, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk poleciło Tymowskiemu napisać utwór okolicznościowy z powodu święconej na pamiątkę Konstytucji 3 maja 1791 r., uroczystości dzień był wyznaczony na 30 maja 1831. Niestety autorowi „Dumań" zapóźno doręczono zawiadomienie, bo dopiero 27 maja tegoż roku, na które Tymowski spieszy natychmiast z odpowiedzią listem z dnia 28 maja 1831 r.: „Zapóźno zawiadomiony, bo dopiero w czwartek, przy pracach sejmowych, nie byłem w możności przygotować na niedzielę w celu komunikowania kolegom Fredrze i Czińskiemu poezyj, mających być czytane na posiedzeniu 30 maja. Prócz tego mniemałem według twierdzenia wielu kolegów, że posiedzenie z powodu epidemji nie nastąpi. Dlatego nezdolny zaręczyć czybym na prędce mógł złożyć prócz odpowiadającą jedynie tak bohaterowi dnia pamiętnego, jak sprzeciwiania Towarzystwu, mam honor upraszać o uznanie tego z kolegów, któryby miał wcześniej przygotowaną poezję, iżby dla uniknięcia nieprzyzwoitego, a mianowicie nastąpić mogącego zawodu, zastąpić mię raczył. Łączę wyrazy szacunku i poważania Kantorbery Tymowski"[13]). Czy autor „Ojczyzny" czytał swoje artykuły, lub rozprawy, raporty Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie podają, zaznaczyć trzeba, że jeżeli mało popierał swemi utworami tak kulturalną instytucję wewnętrzną, to na zewnątrz zato był jednym z najgorliwszych obok Mickiewicza propagatorów ducha narodowego w ukochanym kraju i na emigracji. Po upadku powstania listopadowego i rozwiązania Towarzystwa, z bólem w sercu i ze łzą w oku opuszcza po raz drugi i ostatni ojczyznę, bo już do niej więcej nie wróci.

Dawniej „dumał", i walczył orężem o niepodległość i wolność swojej Ojczyzny, teraz prosi Najwyższego o wyzwolenie jej z pod jarzma piekielnej trójcy. Stał się wygnańcem i pielgrzymem, idącym naprzód w imię wolności dla sprawy polskiej. Wszystko przeminęło:

„Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie
Robak się legnie i w bujnym kwiecie"[14]).

Pozostała mu tylko: „Ufność w Bogu":

„Na twojem łonie zostaje
Ducha ci mego oddaje"[15]).

Dr. Paweł Krzowski.

10) Akta Król. Tow. Prz. Nauk vol, 19 karta 68.

11) K. Brodziński: Wspomnienia mojej młodości opr. Al. Łucki. Bibl. Nar. Nr. 113 str. 64 — 5. Prof. B. Gubrynowicz: Pamiętnik literacki. Lwów 1905 r.

12) Kantorbery Tymowski: „Troski". Astrea 1821 — 5 str. 183 — 4.

13) Akta. tyczące się raportów działu Tow. Prz. Nauk vol 27, str. 181.

14) Antoni Malczewski: Marja, Pieśń II, str. 40.

15) Kantorbery Tymowski: „Ufność w Bogu". Pam. Warsz. t. 15. str. 319 — 322.

Z NIWY POLONIKÓW

Lwowski numer „Messager Polonais".

W serji miastowych i regjonalnych numerów specjalnych, wydawanych przez francuski dziennik stołeczny, ukazał się 35-cio stronnicowy zeszyt in 4-o p. t. „Lwów, Stanisławów et Tarnopol". W przedmowie redakcja usprawiedliwia się z tej okoliczności, że zeszyt wydany nie zawiera opisu całej Małopolski Wschodniej; Lwów wszakże sam mógł być i okazał się tematem wystarczającym dla wypełnienia treści zeszytu pojedyńczego, w pierwszej połowie którego położono szczęśliwie nacisk na zobrazowanie kulturalnego profilu lwiego grodu kresowego, o czem traktują artykuły M. B. Janusza „La culture polonaise en Petite Galicie Orientale", dr. A. Czołowskiego „Les souvenirs de la Pologne historique à Leopol", anonimowy „L'Etablissement national des comtes Ossoliński „Ossolineum" à Leopol 1827 — 1927". Stulecie Ossolineum i związane z tym faktem prace sprawozdawcze i retrospektywne znalazły w tym artykule ujście zwięzłe, lecz wszechstronne, aktualne — ze względu na plany rozbudowy zakładu — i interesujące dla cudzoziemców. Artykuł pióra p. Komisarza J. Strzeleckiego „La ville de Leopol (Lwów)" zawiera krótki, jasny i nie nużący balastem szczegółów zbytecznych przegląd zadań lwowskiej gospodarki miejskiej.

Celowy dobór ilustracyj i staranny układ graficzny, czynią kolejny zeszyt specjalny „Messager Polonais" wydawnictwem, świadczącem o staraniach redakcji do stałego kontynuowania na coraz wyższym poziomie rozpoczętej serji numerów regjonalnych, których poczytność zagranicą niewątpliwie wzrasta. Przy tej okazji możemy zaznaczyć, że np. numer wileński „Mess. Pol." figuruje w artykule „Wilno" w rosyjskiej wielkiej encyklopedji sowieckiej, jako źródło informacyj o tem mieście.

Krytyka czeska polskiej krytyki poloników Przybyszewskiego.

Tak chyba zatytułować wypada wzmiankę o artykule Magra „Kritik an Przybyszewski" w nr. 214 „Prager Presse", dotyczącym tego, co o Przybyszewskim skreślił Boy-Żeleński w nr. 30 „Wiadomości Literackich" p. t. „Blaski i nędze mowy polskiej". Nie odmawiając polskiemu krytykowi wielu trafnych i cennych obserwacyj o niemiecko-polskich autotranskrypcjach Stanisława Przybyszewskiego, Magr natomiast wyraźnie podkreśla, bez cienia złośliwości, pewną zasadniczą niekompetencję Boya w sprawie samego języka niemieckiego, wnioskując z trzykrotnie popełnionej omyłki („Um deinen Haupt" zam. „Um dein Haupt"), że Boy „ist offensichtlich mit dem Deutschen nicht durchaus vertraut", co powoduje mylną ocenę odcieni stylistycznych niemczyzny Przybyszewskiego.

Kalifornijski profesor tłumaczem arcydzieł polskich.

O kilkanaście tysięcy kilometrów od Polski nad Pacyfikiem, w Kalifornji w mieście Berkeley, nad zatoką, na której przeciwległym brzegu leży San Francisco, piastuje katedrę literatur słowiańskich George Rapall Noyes, który położył niepospolite zasługi w rozpowszechnieniu i rozniesieniu sławy literatury polskiej po całym świecie. Tłumacz autorów czeskich, serbskich i rosyjskich, autor dużej biografji Tołstoja, wydanej w r. 1918, właśnie dzięki tej wszechstronności w dziedzinie slawistyki na terenie anglo-saskim i amerykańskim toruje wyjątkowo szeroką drogę dla klasycznego polskiego dorobku literackiego, przyswajając w języku angielskim samodzielnie, oraz z pomocą żony i wysoce uzdolnionych uczennic swoich, — „Pana Tadeusza" (1917, 2-e wyd. 1920), „Konrada Wallenroda", „Farysa" 2-gą część „Dziadów", „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego" (1925), 3-cią część „Dziadów" (1926), Fredry „Damy i Huzary", Kochanowskiego „Sobótka" i „Odprawa posłów greckich", Krasińskiego „Irydjon" i, ostatnio, prof. T. Zielińskiego „Religja dawnej Grecji", jedno z najdonioślejszych dzieł naukowych jakie w pierwszym dziesięcioleciu niepodległej Polski zostały napisane.

Słusznie też ocenia prof. W. Lutosławski pracę amerykańskiego slawisty, pisząc, że „to stopniowe rozszerzenie pola działania polskiej literatury na cały świat angloamerykański i dziwne przyśpieszenie tempa pracy w ostatnich latach, stanowi wielką i wyjątkową zasługę państwa Noyes. Zorganizowanie współpracy jest oniemal jeszcze większą zasługą, niż osobista praca nad tłumaczeniem „Pana Tadeusza".

W r. 1928 przypada trzydziestolecie pracy profesora Noyesa nad literaturami słowiańskiemi. Zajmujące w tej pracy tak wybitne miejsce udatne tłumaczenie naszych arcydzieł poezji powinno by być uczczone odpowiedniem odznaczeniem i zaproszeniem do Polski, którą prof. Noyes już kilkakrotnie odwiedzał, aby umożliwić uniwersytetom polskim i zrzeszeniom literackim złożenie hołdu państwu Noyes za wyjątkowo owocną działalność polonofilską. *T. Gleyden.*

Z BIBLJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

O gromadzeniu książek.

Byłem parę razy w pewnym zamożnym i poważanym, bardzo muzykalnym domu w Kopenhadze, gdy oto zwróciło moją uwagę, że nie dostrzegłem tam ani jednej szafy z książkami. Na pytanie odpowiedziano mi, że w domu niema takiej szafy i wogóle książek, z wyjątkiem 2 lub 3-ch, leżących na stole w salonie.

— Ależ czytujecie państwo lub wiele już czytaliście? — zapytałem.

— Naturalnie, podróżujemy wiele jak panu wiadomo i kupujemy przy tej sposobności wiele książek, ale pozostawiamy je zawsze w siatce.

— W siatce! Znaczyło to w siatce wagonu. I jako wyjaśnienie dodano:

— Nie czytuje się przecież książki więcej, anizeli raz.

Zapewne wywołałbym zdziwienie, gdybym odrzekł, że w tej dziedzinie — może jedynej — regułę stanowi, iż tylko raz — nie stanowi ani razu i że ten, kto ogranicza się do jednokrotnego odczytania dobrej książki, musiał bezwarunkowo nie odnieść z jej zawartości żadnego wrażenia, ponieważ inaczej byłby do niej wrócił. Książki, które są mi drogie, czytałem nieraz więcej, anizeli 10 razy. Nie poznaje się książki, gdy się ją czyta do połowy, powierzchownie.

Nie należy więc tak czytać, ażeby pozostawiać książkę w **siatce wagonu.**

Trzeba się także o to starać, ażeby książkę, gdy ma się po temu środki, posiadać. Są ludzie, którzy nie posiadają żadnych książek, pomimo swej zamożności. Byłem pewnego razu w gościnie u bogatego mecenasa sztuki, w jednym z krajów skandynawskich, u człowieka, którego zbiory miały wartość miljona z górą — i gdy już obejrzałem jego obrazy, powiedziałem: — Czy nie mógłbym teraz zobaczyć książek, gdzie się znajdują? Odpowiedział mi trochę niechętnie: — Nie gromadzę książek!

Nie posiadał ich wcale.

Są znowu ludzie, którzy się zadowalają książkami, które otrzymują z wypożyczalni — bardzo zły sposób zaopatrywania się w książki. Jest to stanowczo oznaką braku kultury i smaku, gdy w kraju tak wielkim, jak Niemcy, widzi się w sposób nieunikniony, w każdej miejscowości kąpielowej, damy w bogatych toaletach, każdą trzymającą w ręku zabrudzony romans z wypożyczalni. Te panie wstydziłyby się nosić jedną suknię, suknię, którą już przedtem nosiła inna, ale na kupnie książek oszczędzają; nie są w stanie czytać nic innego, jak tylko romanse z wypożyczalni, czytają je jeden po drugim i tak, że jeden wytrąca drugi z ich pamięci. Cesarzowa Niemiec bierze także książki z wypożyczalni Nicolai'ego w Berlinie.

Nawet bogaci ludzie mają rzadko zamiłowanie do książki, zamiłowanie, które się objawia w tem, że się książkę szanuje i że się jej daje oprawę, która odpowiada treści książki oraz osobistemu smakowi właściciela.

Są ludzie, którzy nie mają poprostu żadnego własnego poglądu na zawartość książki i żadnego gustu osobistego.

Człowiek, który odpowiedział: — Nie gromadzę książek, — nie czuł konieczności ich czytania.

Jerzy Brandes.
(O czytaniu 1899)

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

H. A. Gdańsk: Ustawa o prawie autorskiem opracowana została w Polsce przed dwoma laty, i należy wedle zdania prawników — specjalistów polskich oraz obcych — do jednej z najlepszych, jakie istnieją w Europie. Przy tworzeniu ustawy tej pracowali specjaliści w połączeniu z najwybitniejszymi pisarzami polskimi. Ustawę tę otrzyma Pan z łatwością już to z redakcji Monitora Polskiego, już to za pośrednictwem Związku Zawodowego Literatów Polskich (Warszawa, Bracka 5). Jeżeli pisarz zastrzegł sobie prawa musi Pan zgłosić się do niego i uzyskać autoryzację. Jest to konieczne. Autoryzacja ta może opiewać (jak opcja) na określony przeciąg czasu.

B. B. w Krośniewicach: Z prawdziwą przykrością musimy Panu napisać, iż nie umieliśmy dopatrzeć się w poezjach nadesłanych istotnego talentu. Posługuje się Pan starą, dawno przeżytą formą, którą niestety wyraża Pan myśli pospolite, pełne przesadnego sentymentu. Radzimy porzucić poezję.

K. K. Łódź P.: Przeczytaliśmy sumiennie od deski do deski, napróżno szukając choćby śladu talentu, śladu uzdolnienia pisarskiego. Widocznie jest Pan znakomitym, utalentowanym (jakby powiedział Hulka-Laskowski) czytelnikiem,, nie posiada Pan jednak zdolności twórczych .

Tad. Horz. W—wa: Ależ nie możemy poprawiać tego na własną rękę. Prosimy o nadesłanie rzeczonych utworów jeszcze raz w przerobionej przez Pana samego formie. Staramy się wedle naszej możności, czy kompetencji zwracać uwagę naszym korespondentom na błędy,czy braki, sami jednak nie możemy poprawiać, czy przerabiać nadsyłanych nam utworów. Wymaga Pan za wiele!!

Stefan Brun. Opatowiec: Być może wydrukujemy. Wydrukujemy dla tych kilkunastu bardzo dobrych zdań początku noweli. Dlaczego wypadł Pan potem z tonu? Wprowadza Pan kilka osób do rozmowy. Czytelnik nie widzi tych osób, nie wie, gdzie rozmawiają?! Taki „nerwowy" styl wymaga niezmiernej ścisłości. Chodziło Panu o to, że ów Leski jest kabotynem? Złamaną egzystencja? Ależ w konflikcie z Niną nie widać tego jeszcze?! Po cóż więc cały ów konflikt, który w opowiadaniu nic właściwie nie znaczy?! Rzecz niepotrzebna w dziele sztuki jest gorszą od złej!

Maurycy R. Kołomyja: Wiersz wydrukujemy, — mimo, iż uważamy ten utwór dopiero za wstęp do jakiejś fazy. Stundenbuch jest też i naszem ukochanem arcydziełem, lekturą najspokojniejszą i najradośniejszą. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że w wierszu pańskim, gdy wspomina Pan t. zw. przeorane już życie, — słowo to nic nie znaczy! Wspomnienie „życia" nie przynosi żadnej refleksji, jest puste, nie ma żadnego zapachu. Czyli, jako sprawdzian porównania nie działa, nie może wytworzyć żadnej reakcji. Czyż nie tak?

H. Was. Poznań: Naturalnie, prosimy o prozę, — staramy się o nią bardziej, niż o wiersze, jako o gatunek bardzo jeszcze u nas nie wyrobiony, a najpotrzebniejszy. Wiersze Pańskie pójdą, mniej więcej w połowie września. Może ma Pan inne jeszcze próby? Oczekujemy nowej przesyłki. Mowy niema o pochlebstwach. W tej dziedzinie nikt nikomu nie może pochlebić, czuje się przecież zawsze prawdę samemu bardzo dobrze!

Józef Lel—dasz. Bydgoszcz: Bardzo piękna myśl wiersza, niestety forma nie odpowiada polotowi myśli.

Jan Palmira: Prawdopodobnie wydrukujemy „Modę Przyszłości". Fejletony zakopiańskie pozbawione wszelkiej wartości. Nie rozumiemy z czego wnosi Pan o ich aktualności, czy dlatego, że lato?

Roman Nagina, Pożoga: Używa Pan napuszonej, egzaltowanej prozy, która niczego nie określa, nie przedstawia, nie opisuje nawet. O ile istotnie czuje Pan zamiłowanie do pisania, radzimy przerwać obecnie wszelkie próby twórcze. Czytać dobrych prozatorów współczesnych i dawniejszych i brać się do pisania kiedyś, później, — za kilka lat.

Ant. Mad... Lublin: O wiele lepiej teraz. Być może — wydrukujemy.

Aleks. Łęcz. Włocławek: Mamy wrażenie, że nie Pan prowadzi i rozwija swój wiersz lecz, że wiersz, nastrój, czy urojona konsekwencja obrazu narzuca Panu stylizację i myśl ostateczną wiersza. Z drugiej strony, — posiada Pan już zbyt wyrobioną technikę, by takie przestawienie źródeł władzy nad wierszem — nie raziło. Co wolno debjutantowi, — nie wolno świadomemu środków sztuki artyście. Najlepszy z nadesłanych utworów, — Matka, — wydrukowalibyśmy, gdyby nie pewna zbyt rażąca a niepotrzebna dosłowność szczegółów fizjologicznych.

J. Z. Lwów: Przedewszystkiem krzywdzi nas Pan: Nie jest prawdą byśmy byli w tem seminarjum tak surowi. Dzielimy się tylko poprostu i bez osłonek doświadczeniem zdobytem w terminie wielkiego rzemiosła sztuki. Być może, — doświadczeniem błędnem? Nie mamy pretensyj do nieomylności. Wiersze pańskie, wedle naszego, zgoła omylnego zdania, posiadają znamiona talentu: Mają własny rytm, swoistość widzenia i odczuwania. Dwa, lub trzy z nadesłanych wydrukujemy, życząc serdecznie powodzenia w debjucie poetyckim. Tylko — na wszystkie muzy, — dlatego że drukujemy Pańskie wiersze, niechże Pan nie rzuca medycyny, prawa, czy politechniki, czy wyższej szkoły handlowej i na naszą odpowiedzialność nie „idzie na pisarza". Drukujemy wiersz, życzymy powodzenia, — nie mamy jednak żadnego prawa konsekrować Pana na poetę.

Joga, Bydgoszcz: Redakcja rękopisów nie zwraca. Nadesłane poezje pod względem formy spóźnione są o kilkadziesiąt lat. W poezji obowiązuje mniej więcej tosamo, co w nauce i w technice. Nie można więc np. dzisiaj odkrywać Ameryki, czy chlubić się doświadczeniami, które pierwszy wykonał Pasteur. Radzimy więc, — zaprzestać pisać, i zaznajomić się ze stanem współczesnej poezji. Potem próbować własnych sił.

St. Bal. Poznań: Omyłkę w nazwisku sprostujemy. Prosimy przysłać. Oczekujemy z ciekawością.

Sprostowanie: W numerze 255 dodatku Literackiego „Głosu Prawdy" ,wydrukowano błędnie nazwisko autora noweli p. t. „Ostatnia przygoda Wojnara". Zamiast St. Bazicki, ma być St. Balicki.

Red.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.